
3 1761 08822285 6

I

Siedzi ptaszek na drzewie i mocno s
dziwuje
że najmędrszy z ludzi prawdy nie z
dzie

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje
Że najmędrszy z nich nie wie
Gdzie się szczęście znajduje.
tak ma być.

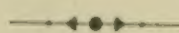
FRAGMENTY

(1-5)

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

LP
K8275po

Maria
MARYA KONOPNICKA



POEZYE

W NOWYM UKŁADZIE

I

FRAGMENTY



499198
27. 10. 49

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1902

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Сентября 1901 г.

WSTĘP

Nie mogę mówić do was jakbym chciała,
Ani do głębi serca wam otworzyć...
Ale wy wiecie jak drży i jak pała
Słowo to, które pragnę tu położyć,
I stanąć przed niem z pochyloną głową.
Wielkie, zaklęcia pełne, ciche słowo.

Kto je odgadnie, łza zwilży mu oczy
I serce w piersiach gorąco uderzy,
I tęcza duchów jasnych go otoczy
Błyskawicami stalowych pancerzy
I tarcz, co przeto tylko były siłą,
Że poza niemi także serce biło.

Kto je odgadnie, uczuje jak pióra
Z ramion mu rosną do górnych polotów,
Jak zeń trosk drobnych opada wichura,
Jako z duchami jest, i jak jest gotów
Wybłysnąć, niby ciosowa kolumna,
Silna — bo w gmachu, że gmach dźwiga — dumna.

Kto je odgadnie, ten pójdzie na pole
Słuchać wiosennych świergotów skowronka,
I stanie cichy i wpatrzy się w rolę,
Jak siewy wschodzą na ziarno do słonka,
I wybiją mu myśli tajemnicze
Na podniesione w błękity oblicze.

A potem wróci i zbudzi się nocą,
O gwiazdy oprze oczy zadumane,
I będzie się czuł ogarnion tą mocą,
Co do gniazd pędzi ptaki obłąkane,
I ludy pędzi pod zorzę jutrzenną,
I jest tęsknotą wielką i bezsenną.

Lecz teraz mówić tu z wami nie mogę
Tak jako czuję, i jakobym chciała,
Bo smętność czasów zachodzi mi drogę,
Wiatr chwyta słowa, a nocna mgła biała
Chce rozproszona wpierw być i rozbita,
Nim pieśni wstaną, nim dzień nam zaświta.

Więc zdala tylko stoję, i milcząca
Mówię dziś do Was zamkniętych ust ciszą,
I czołem w brzaski zwróconem do słońca...
I wiem to, że mnie te serca usłyszą,
Które nawykły samotnem swem biciem
Gadać z tęsknotą, z nadzieją, i z życiem.



Z DNI SMUTKU

I.

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słucha!

Czy Tobie, Boże, imię: »Grom i Burza«,
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię: »Błyskawica«,
Że mu miecz nagi przyświeca?
Czy Tobie imię: »Śmierć i Wytępienie«,
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą Ci prysła z źrenicy?
Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
Łzą z oczu padła Ci, Boże?
Czy, gdyś ją cisnął w wir światów bez końca,
Smutkiem ściemniała twarz słońca?
Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,
Gdyś wydziedziczył myśl własną?

Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku
Głośnego w każdym języku?
Czemu, gdy forma niezmienne zna prawo,
Duch wiedzę zdobywa krwawo?
Czemu wpatrzone w ideał daleki,
Orłem nie lecą doń wieki?
Czemu to pełne boleści wahanie
Na drodze dobra, o Panie!?
Dlaczego ludzkość ustaje, powraca,
Zdobyte plony zatraca,
A całość prawdy rozbiwszy w okruchy,
Łamie pojęcia i duchy?
Czemu jej, Boże, nie powiesz: »Mdlejąca
Z pragnienia, pij światło słońca!«
Czemu pozwalasz, by w zmierzchy dziejowe
Szła, krwawiąc piersi i głowę?

Jeśli jest myślą Twą i Ciebie sięga,
Gdzie jej świętość i potęga?
Jeśli Ci obcą — czemu tak stęskniona?
Królową, — gdzie jej korona?
Branką, przykutą do wozu Twej chwały, —
Czemu w niej duch taki śmiały?
Wysłaną w nocy po prawdę pątnicą, —
Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek, zapada
W otchłań, gdzie perła lśni blada,

I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie...
Ach! czy ze skarbem wypłynie?

Ludzkość się zrywa, jak ptak zponad ziemi,
Skrzydłami skrępowanemi...
Przed nią dzień jasny i słońc nowych zorze, —
Lecz czy doleci, o Boże?



II.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany?...
Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą
Wybuchy pomsty swych ogniów pożogą?
Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna,
A jak nienawiść — okropna, płomienna?

Krwią swoją ludzkość zalewa ją co dnia,
W głębie jej leci i cnota i zbrodnia,
I łza, i klątwa, i miłość, i zdrada,
A przecież wszystko gdzieś marnie przepada...
Olbrzymie serca i umysłu siły,
Życie milionów, milionów mogiły,
Czas rzuca na dno, przez lata, przez wieki,
A brzeg od brzegu tak zawsze daleki!
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,

Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, geniusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska...
A przecież, dotąd pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca.

Jestże kto, pytam, co zapładnia ziarna,
Które ta zgroza pochłonęła czarna?
I czyż z nich kiedy złoty plon wystrzeli,
I bratnim chlebem ludzkość się obdzieli?

O! śpiesz się słońce! Zbyt wschodzisz powoli,
Nad przepaściami głębokich niedoli!
O! śpiesz się słońce! Niech dzień nowy wstanie!...
Wszak tylko światło zwycięża otchłanie.



III.

Nie to jest pole najkrwawsze na ziemi,
Co pije z wojen rubinowej czary
I tak się bieli trupami ludzkiemi,
    Jak morskie piany, albo wieczne śniegi...
Nie to, gdzie leżą strzaskane sztandary
Na mężnych piersiach, które ich broniły
I kędy, zwarte w dwa wrogie szeregi,
    Ludów ścierają się siły.

Nie to, nad którem, jak śmiertelne chusty,
Ciągną się dymy ciężkie, ołowiane...
Nie to, co wiecznie spragnionemi usty
    Ssie pierś ludzkości, jak ranę...
Nie to, gdzie żołnierz konający pada,
Zdala od chaty, od żony, od dzieci,
I gdzie się jękiem ostatnim spowiada
    Gwieździe, co nad nim, drżąc, świeci.
Nie to, nad którem wichrom jęczeć trzeba,
Gorzkiemi łzami padać chłodnym rosom,

I dzwonić pustym na zagonie kłosom,
    Na przyjście roku bez chleba.

Lecz to, gdzie duchy, jak orły zwaśnione,
Biją się w chmurach o prawdę nieznaną,
I gdzie od wieków w dwie strony targano
    Nieskończoności zasłonę.
Gdzie w zmrokach nocy, w walk krwawych zamieci,
Myśl obłąkana ciska błyskawice,
I ponad którem wieczna burza leci,
    Niosąc duchów nawałnice...
Lecz to, gdzie jeszcze nigdy nikt z śmiertelnych
Ostatecznego nie dopiął zwycięstwa:
To, gdzie zastępy najśmielszych i dzielnych
    Mają mogiły męczeństwa...
Gdzie myśl, podnosząc miecz badań stalowy,
Przecina ludzkość na wrogie połowy
    I duchy na ostrzu trzyma...
Gdzie, ciężkim wieków wstrząśnione pochodem,
Walą się gmachy posępną ruiną;
Gdzie bogi, wiary i idee giną,
    Przed ustaw wiecznych dowodem.
Gdzie w sam war bitwy, co grzmi wiekuiście,
Ludzkość potężnych swych atletów ciska,
I gdzie z nich każdy znaczy swoje przyjście
    Łuną nowego ogniska.

O pole straszne!... o szranku ty krwawy,
Co wiekom swoje obwołujesz hasło,
Nad tobą, wpośród dziejowej kurzawy,
Sto słońc już wzeszło i zgasło!
Sto ramion prawdę namiętnie chwytało,
Za całość biorąc rozbite atomy;
Sto serc tu pękło, gdy ideę białą
Kruszyły fakty, jak gromy.
Nad tobą sztandar wieczności szeleści,
Porywy kują miecze twych rycerzy...
A ludzkość czeka, konając z boleści,
Aż chwila ciszy uderzy.
Jak wichry, które z dwóch krańców pustyni
Rwą się, miotając swe piaszczyste żary,
Tak tutaj walczą w imię bóstw i wiary
Świątynia przeciw świątyni...
A człowiek, zgrozą przejęty i blady,
Patrzy, jak marmur, krwią zbryzgany, pęka,
I jak ognista druzgoce go ręka,
W gruzy mogilnej zagłady...

O bojowisko olbrzymów!... O pole,
Gdzie się ścierają żywe duchów prądy!
Wszystkie sprzeczności i wszystkie niedole
Czekają na twoje sądy!
Najszlachetniejsze, najgorętsze duchy,
Przekazujące wiekom swoim chwałę,

Są wpośród ciebie, jak te chusty białe,
Co tłumią walki wybuchy...
Przez chwilę, jako gwiazdy, błękitnieją
Ponad ludzkością konającą w boju,
I opatrują rany jej nadzieją
Wiekuistego pokoju.
Lecz czas uderza w skrzydła i ulata...
Rwą się do walki nowe pokolenia...
A nad okręgiem zwichrzonego świata
Wieje chorągiew zniszczenia.
I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękicie,
Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony,
Aby spoczęły już raz te miliony,
Co walczą na śmierć i życie!



IV.

Nie płaczcie, smutni!
                    Ach, czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękicie,
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga,
    Zakłóci spokojność Boga?
Czy wy myślicie, że okrzyk nędzarzy,
W srebrne, przejrzyste rzucony powietrze,
Wstrząśnie lazury i blaski z nich zetrze
    I ciszę niebios znieważy?
Czy wy myślicie, że łzy te gorące,
Któremi płaczą od wieków tysiące,
Zagaszą słońce i cień wiecznej nocy
    Rzucą w oblicze wszechmocy?
Że gwiazda, w której wzrok smętny topicie,
Zblednie — i zadrży w promiennej orbicie,
I przyjdzie otrzeć włosami złotemi
    Znój z czoła synów tej ziemi?
Czy wy myślicie, że ust waszych skarga
Jakieś marzenie wieczności potarga,

I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity,
      Aż Bóg się zbudzi ukryty?
Och! świat zbyt wielki! Wy na nim — zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni,
      W wiecznie pogodnej przestrzeni!
Krzyk uciśnionych nędzarzy nie sięga,
Gdzie nieskończoność globowy ruch słyszy...
Żaden głos do was nie ozwie się z ciszy:
      Milczenie — bogów potęga!
Któż wie, czy w wielkiej harmonii stworzenia,
Ostatni okrzyk ginących w rozpaczy
Więcej coś waży i więcej coś znaczy,
      Nad róż mdlejących westchnienia?
Któż wie czy biegnąc po strunach tej lutni,
Której dźwięk każdy dostraja Duch duchów,
Jęki boleści i zgrzyty łańcuchów
Nie tworzą hymnu?...
                              Ach, nie płaczcie, smutni!



V.

Ja się nie skarżę, Boże! ja nie płaczę,
Choć wiatr roznosi jękami głuchemi
Chmury łez pełne, westchnienia tułacze,
    Po całej smutnej tej ziemi!
Ja się nie skarżę, choć jasność dnia blada,
Zaledwo słońca promieniem draśnięta,
W cień i zmierzch nocy wieczystej zapada
    Nieznana, często — przeklęta!
Ja się nie skarżę, choć kwiat nierozwity,
W pąku zdeptany, bezpłodnie umiera...
Ja się nie skarżę, choć prawdy błękity
    Burza piorunem otwiera...
Choć po dolinach mgły ciemne się wloką.
Chociaż szczyt każdy bezduszną opoką,
Choć po przepaściach zwątpienia jest droga
    Myślicielowi — do Boga.
Choć wiekuistej harmonii twej tony
Milkną, wśród dzikich rozdźwięku wybuchów,
Chociaż stworzywszy ciał całe miliony,
    Tak mało dałeś nam duchów!

Ja się nie skarżę, choć Twoje narody
Idą, nie wiedząc skąd, kędy i po co?
I bijąc w siebie, jak morskich fal wody,
    Pracę stuleci druzgocą.
Choć hasła wieku, jak błędne ogniki,
W strasznej nicości prowadzą nas bagno,
Choć próżno biją w niebiosa okrzyki
    Tych, co konają i pragną!
Ja się nie skarżę, choć Twoje ołtarze
Nie płoną wiecznej jasności pochodnią,
Choć synom twoim na imię: »nędzarze«,
    A nędza, tak często — zbrodnią!
Ja się nie skarżę, choć serce człowieka
Z porywów marnych wykułeś, nie z siły;
Choć smutnym droga tak bardzo daleka
    Do ukojenia — mogiły!
Chociaż ideał, na cząstki rozbity,
Wspólnego duchom nie tworzy ogniska;
Choć przez najczystszych uniesień zachwyty
    Płomień żądz ziemskich przebłyska.
Ja się nie skarżę, choć słońce nie świeci
W chacie nędzarza, w skazańca ciemnicy;
Choć pokolenia posępnych stuleci
    Marnieją w gnuśnej tęsknicy!
Choć tyle smutków i łez na tej ziemi,
Tyle niedoli, ach! i tyle winy...

Choć ponad ludów tłumami blademi
  Biją okropne godziny...
Ja się nie skarżę! Cóż światu pomoże,
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem?...
— Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże,
  Całej tej nędzy jest — panem!



WSKROŚ NOCY

I.

W noc cichą czuwam, a myśl wytężona
Lecących światów chrzęst płomienny słyszy...
I drżę, i tęskne wyciągam ramiona
Do tajemnicy nurtującej w ciszy.

O! niech mi powie, kto gwiazd myślą sięga
I szmeru tajnych prądów życia słucha,
Gdzie jest tym prawdom złożona przysięga,
Któremi ludzkość karmi swego ducha?

Komu i na co jej walki, jej cele?
Gdzie ujście mają jej znoje, jej trudy,
Jej uniesienia, jej ból, jej wesele?
Gdzie lecą wieki? i gdzie idą ludy?

Czy ty, przyrodo, chwytasz ich porywy
Słońcu na strzały do złotej cięciwy?
Czy z nienawiści kujesz klęsk swych miecze?
Czy w perły ścinasz gorzkie łzy człowiecze?

Czy z myśli mędrców budujesz gór szczyty?
Czy z serc niezłomnych wykuwasz granity?
Czy z młodych marzeń przędziesz chmurki płowe?
Czy z tęsknot deszcze lejesz brylantowe?

Czy z smutków czarnych dzikie wznosisz puszcze?
Czy uściśnienia przeobrażasz w bluszcze?
Czy z pocałunku stwarzasz różę białą?
Czy z cichych dumań zmierzchom dajesz ciało?

Czy ty, przyrodo, uśmiechy radosne
Zaklinasz w kwiaty? chwilkę szczęścia — w wiosnę?
Nadzieję w ptaszka, co rankiem świegoce?
Przyjaźń w gwiazd światło? miłość — w letnie noce?

Czy ty z narodzin i śmierci okrzyku
Zgłoski wykuwasz w tajemnym języku?
Czy ty z uniesień wichrom ciało dajesz,
A ostrzem wzgardy dyament w ziemi krajesz?

Czy ty zwątpienie w mgły rozsnuwasz ciemne?
Rozpaczą ognie podsycasz podziemne?
Z tajnych udręczeń rdze osadzasz krwawe,
A żądze topisz w buchającą lawę?

Czy z wielkich czynów światy stwarzasz nowe?
Czy krwi wylanej rzeki rubinowe

Przed nowem słońcem przepromieniasz w zorze?
Czy pragnieniami chłoszczesz sine morze?

Czy głuche gniewy zaklinasz w wulkany?
Wzruszenia tłumów — w grzmot powstrzymywany?
Krzywdy rozwierasz w przepaście bezdenne,
A w pomście — gromy rozpalasz płomienne?

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata,
I wskróś przeniknąć pragnie nurty mętne,
I w ciszę rzuca pytania namiętne.

Pójdę, gdzie tchnienia czas nabiera w biegu...
Pojdę, gdzie przestrzeń linje swe rozmierza...
Tam, na przepastnym pochylę się brzegu,
Gdzie nicość w życie, jak piorun uderza...

Tam oko w oko z tajemnicą stanę,
Wieczne ogniwa bytu liczyć pocznę,
Aż prawda zrzuci zasłony obłoczne,
I duch mój przejrzy to, co niezbadane.



II.

Co to jest życie?... Schylona nad księgą
Wiecznych zagadnień o śmierci i bycie,
Myśl wstrząsa niebios i ziemi potęgą,
Pytając: co to jest życie?
Jako świat dawny, tak dawno palące
Słowo to w błękit wyrzucone, leci...
A nad ludzkością zadumaną słońce
W ciszy powstaje i świeci...
I żaden odzew nie koi nam ducha,
I nie rozjaśnia żaden promień nocy...
Ach, kiedyż wstanie Ten, który nas słucha,
Milczący w swojej wszechmocy?

Co to jest życie? — Oś przemian i ruchu,
Harmonii zjawisk ton główny, przewodni,
Płomyk, co gaśnie przy śmierci podmuchu,
I znów się chwyta pochodni...
I co jest życie? Żebracze łachmany,
Purpura królów, siła myśliciela,

Nędza, co w istnień miliony się wciela,
Wlokąc materyj kajdany...
Upadek duchów, walk pole najkrwawsze,
Gdzie nikt nie mierzy oręża, ni siły,
I gdzie zwycięstwo otrzymuje zawsze
Czarna chorągiew mogiły...
Co to jest życie? — Uśmiechy wiosenne,
Szmer pocałunków, jutrzenka spłoniona,
Zroszone róże, marzenia półsenne,
Uścisk, co splata ramiona...
I co jest życie? — Odwieczna tęsknica
Do oddalonych żywej wody zdrojów,
Żar, co pierś trawi i ogień podsyca
Burzliwym tchem niepokojów...
Trud bez zapłaty, samotność i wzgarda,
Znój krwawy czoła i łzy krwawe oka,
Boleść, jak groby czarna i głęboka,
Dola sieroca i twarda!

Cóż więc jest życie? Do czego zbudzone?
Czemu tak strasznie rozłamane w sobie? —
Oto w błękitach ma swoją koronę,
A trwałość odrodzeń — w grobie.
Obecność jego wszędzie, a istota
Niepochwycona, lotna i subtelna...
Dotkniesz go ręką? — garść pyłu i błota,
Myślą? — iskra nieśmiertelna.

Gdzież jest ten nikły punkt, ta tajemnicza
Spójnia, co wieczne łączy ze znikomem,
I zmiennej formie, która jest jej domem,
Potęgi bytu użycza?
I komu dano chwycić moment wielki,
W którym materya przyjmuje palące
Znamiona ducha, jak rosy kropelki,
Co rankiem zwierciedlą słońce?

O myśli ludzka! gdzieżeś ty nie była
Po słowo życia, płomienna i drżąca?
I jaka czara, tuż przy ustach schnąca,
W pragnieniu cię nie poiła?
Ileż ty razy, o biedna ludzkości,
Wzniesiesz się jeszcze i padniesz znużona,
Zanim podstawy dla swojej przyszłości
Wyczerpniesz z własnego łona?
Zanim zdobędziesz choć tyle w tym boju,
Z tajemniczością własnego istnienia,
Byś cele swoje bez łez i bez drżenia
Rozważać mogła w spokoju
Kiedyż ukoisz się i pójdziesz, cicha,
Wytkniętą drogą, bez skargi, świadomie
Dążąc tam, kędy myśl boża oddycha
W słonecznych światów ogromie?

O! gdybym mogła z łez własnych, tęsknoty,
Utkać, jak tęczę, pas długi, pas złoty,

Rzuciłabym go w gościniec daleki,
By prędzej po nim szły wieki!
Ale w ludzkości jak klątwa niedoli,
Są takie słowa, których nic nie zgłuszy...
Myśl od nich płonie, i pierś od nich boli,
I ciemno robi się w duszy...
I wiem, że wiecznie, wśród istnień gromady
Z okiem utkwionem w dalekim błękicie,
Stać będzie człowiek samotny i blady,
Pytając: co to jest życie?



III.

Czy marzą kiedy te czoła schylone,
Które dźwigają cierniową koronę
Codziennej troski, nad zbladłą w łzach twarzą...
Czy one marzą?
Czy w tych źrenicach zamglonych rozbłyska
Niekiedy iskra wielkiego ogniska,
Przy którem duchy od wieków się grzeją
Wspólną nadzieją?
Czy te ramiona, od taczek swej biedy
W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy
Tam, gdzie ludzkości całej ideały
Tron mają biały?
Bladzi nędzarze przy cudzym warsztacie,
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,
I ci, co wloką dnie w zapadłej chacie, —
Czy oni marzą?
Czy słyszą kiedy, wśród samotnych godzin,
Głuchy szum wieków idących z kolei,
I ciche szmery tajemnych narodzin
Wielkich idei?

Czy w odrętwieniu swojem lodowatem
Czują ten płomień braterskiej miłości,
Co łączy duchy nad nędzą i światem,
W imię przyszłości?
Czy ci schyleni tak blizko do ziemi
Naglą jej pochód tętnami własnemi?
I czy się czuje myśl wydziedziczona
Cząstką miliona?
Duchy znużone i duchy mdlejące,
Czy wierzą, że się te zmroki przeważą?
Czy przeczuwają jaśniejszych dni słońce?
Czy one marzą?
Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko!
Niech spotężnieje i światło i ciepło!
Uściskiem bratnim rozgrzejmy tu nisko
Pierś ludu skrzepłą...
Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!
Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą
I niech dosłyszy okrzyk pełen wiary
W jutrzenkę złotą!



IV.

O wiosno! gdzie ty gubisz swoje kwiaty?
I jaki wicher skrzydłami mrocznemi
Chwyta ich listki i wlecze po ziemi
Królewskie róż twych szkarłaty?
Gdzie twych poranków blaski dyamentowe
Gasną? i w jakie rozwiewa się cienie
Wieczorna zorza, co na twoją głowę
Kładzie koronę — marzenie?
Od jakich żarów rosy twoje białe
Tają, jak perły w morzu konające?
Na czem ty łamiesz brylantową strzałę,
Którą posyła ci słońce?
Gdzie przepadają mgły twe tajemnicze,
I blade róże wschodzącej jutrzenki?
Od czego mdleją pąki twe dziewicze,
Zanim rozwiną swe wdzięki?
O wiosno w blaskach i uśmiechach cała,
Co na skąpane w łzach opalu tęcze
Zarzucasz skrzydła lekkie i młodzieńcze,
Jak gdybyś w niebo leciała...

I coraz szersze dnia czyniąc zdobycze
Na wschód i zachód słonecznej krainy,
Świata pochodnie wznosisz tajemnicze
W srebrzystej nocy dziedziny...
O wiosno! czemu tęcze twoje gasną,
Skrzydła się łamią i ciężą ku ziemi?
I czemu zmierzchy ustami chłodnemi
Zdmuchują zdobycz twą jasną?
Czemu słowicze pieśni twoje mdleją?
Czemu wód twoich wysychają czary?
Czemu, nazwana: — »miłością, nadzieją«,
Dotrzymać nie umiesz — wiary?

O serce ludzkie! gdzie są upojenia
Młodych porywów twoich i tęsknoty?
Gdzie wielkie czyny słabego ramienia?
Gdzie wielkich rojeń plon złoty?
Gdzie świeżość uczuć twoich porankowa?
Gdzie dążeń, celów twoich ideały?
Gdzie zapał, którym uskrzydlone słowa
Pieśni twej w niebo leciały?
Gdzie twojej siły, energii twej suma?
Gdzie sny twe ciche, dziewicze, niebieskie?
Gdzie nieskalana czoła twego duma,
Twoje ubóstwo królewskie? —
Gdzie ukochanie twoje wszechpiękności?
Cześć dla wszystkiego, co wzniosłe, co święte?

Gdzie są twe barwy, szermierzu ludzkości,
W walce o przyszłość podjęte? —
Gdzie głębia rwąca i świeżość tych prądów,
Które rzeźwiły brzeg suchy, omdlały?
Gdzie jasne tęcze skróś mórz i skróś lądów,
Co niebo z ziemią wiązały? —
Gdzie przedumanej nocy urok cichy,
Co ci bezsenne otwierał powieki?
I gdzie są ducha upojeń kielichy,
Kipiące życiem na wieki?
Zapał młodzieńczy do wiedzy, do pracy,
Gdzie złamał wzlotów swych potężnych skrzydła?
I w jakich mroków pochwyceni sidła,
Milkniecie, świtu śpiewacy?

Młodości bujna! O wiosno ty ziemi!
Co pokolenie, świat wzmaga swe tętna
I, oddychając piersiami pełnemi,
Ludzkość rozbudza się smętna...
Czemuż jej nie dasz tak dzielnych wybuchów,
Tyle wytrwania, i żaru, i siły,
Żeby chwyciwszy się wiosennych duchów,
Zmartwychpowstała z mogiły?
Czemu ty sama, o zorzo dziejowa,
W mgle powszedniości przygaszona perło,
Jak z tronu swego zepchnięta królowa,
Łamiesz o życie swe berło? —



V.

I cóż z tego, że geniusze
Nieśmiertelne dzieła tworzą?
Że myśliciel swoją duszę
Na świątynię zmienia bożą?
I cóż z tego, że w tęsknocie
Do wieczystej prawdy zdrojów
Duchy, pełne niepokojów,
Jako orły rwą się w locie?
I cóż z tego, że przestrzenie
Świata, ciszy i błękitów,
Myśl słonecznych pełna świtów,
Ukochała nieskończenie?
I cóż z tego, że są duchy,
Co się trawią własnym żarem;
Póki świat dźwiga łańcuchy,
I w bezprawiu tonie starem...
Że wskróś wieków, jak kometa,
Gorejąca myśl przelata,
Że duchowy gdzieś atleta
Podwaliny wstrząsa świata,

Że jest serce, które płacze
Nad niedolą wieku swego
Że są ścieżki, gdzie tułacze
Idą smutni, i cóż z tego?

Wszak na ziemi, tu, wśród tłumu,
Co pięściami się rozpycha,
Wśród zamętu, krzyku, szumu,
Gdzie sto żądz naraz oddycha,
Ani jedno próżne słowo
Na warg brzegu nie zastygnie...
Ani jedna myśl w malignie
Nie zbudzi się świeżą, zdrową...
Ani jeden uśmiech pusty
Nie powstydzi się, że lata,
Różowemi tchnięty usty,
Nad ogromem nędzy świata...
Ani jeden strój balowy
Nie zużyje mniej krwawicy,
Ani jeden kwiatek z głowy
Nie wypadnie tanecznicy...
Ani jedna wina czara
Nie drgnie w dłoni biesiadnika...
Samolubna żądza dzika
Nie wymówi: »czyn, ofiara«;
Ani jedna pierś zamarła
Ogniem ducha nie zapłonie,

Ani jedna wielkość karła
Nie zachwieje się na tronie...
Tłumu śmiechy i oklaski
Nie ominą arlekina,
Gdy wieczornych zórz godzina
Z wstydu gasi swoje blaski...
Ani jeden duch służalczy
Nie podniesie zgiętej skroni,
I nie rzuci ten, co walczy
O garść złota, nędznej broni...
Żadna podłość, żadna zdrada,
Żadna hańha, co się ima
Mroków nocy, drżąca, blada,
Nad przepaścią się nie wstrzyma!...

Ach! gdy wszelka rana ziemi
Bez ratunku jest otwartą,
Płakać łzami gorącemi,
Tęsknić, konać, czy to warto?



VI.

Ty mi się nie dziw, że ja cię wciąż pytam,
I rzucam: »czemu?« w przestrzenie błękitu...
Wszak odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze.
Idę — i słucham — i w próżni tej chwytam
Jakieś przebłyski dalekiego świtu,
I jakieś hasła, jakieś wróżby wieszcze...
Lecz to są tylko echa — i westchnienia,
I starcia myśli nagłe błyskawice,
Okrzyki zgrozy błądzących wśród cienia,
Łkania — i skargi — i bluźnierstw wybuchy
Na bezlitosną życia tajemnicę,
Od której konają duchy...

Ty mi się nie dziw! Któż z nas, co dziś żyją,
Może zasypiać spokojny i cichy,
Jak te powoju dziennego kielichy,
Które łez rosy nie piją?
I tak się zwinąć, jak one, przed cieniem
I nigdy, nigdy nie przebić spojrzeniem
Tej tajemniczej, gwiaździstej zasłony,

Która drży w ręku Boga od serc bicia,
Z jakiem się do niej zbliżają miliony
Namiętnych duchów, co idą przebojem,
Za żądzy swej niepokojem,
I nie chcą bez walki — życia!

Ty mi się nie dziw! — Ja jestem dziecięciem
Wieku, co wyrzekł, że gdyby mu dano
Prawdę, jak gwiazdę jaśniejącą cudem,
Ot tak, gotową, zdjętą prosto z nieba,
Prawdę, krwią jego serca nieoblaną,
I niezdobytą potem ani łzami,
Onby ją rzucił, bo jemu potrzeba
Iść — i zdobywać i łamać się z trudem,
Zdumiewać światy śmiałem przedsięwzięciem,
Cofać się — padać — powstawać nanowo,
Drogi swe znaczyć krwawemi śladami,
Konać z tęsknoty czekając na słowo,
Które ma kiedyś z ust całej ludzkości
Dać nazwę świtom przyszłości.
Ty mi się nie dziw! — Ja idę w pomroce
Zwątpień, któremi trują się dziś duchy...
Zdala gdzieś — niby promyczek migoce,
Lecz wokoło mnie lecą huragany
Tchnień niespokojnych, które w samo słońce
Ciskają strzały swoje pałające,
Zdając się wołać: »zdmuchnę — potem stworzę«!

Ach! od tchnień takich, światełko to boże
Drży — i przygasa, jak płomyk, wydany
Bez żadnych osłon na wiatru wybuchy...
I trzeba wiele wytrwania i siły,
Żeby je w piersiach, jak w lampie z kryształu,
Zamknąć — i iść tak w łunach ideału,
Aż do nieznanej mogiły.

Ty mi się nie dziw! Ja stoję na ziemi,
Po której idą tłumami smutnemi
Ludzie, których ja braćmi memi zowię...
Stoję — i patrzę — i płaczę nad niemi,
I gdybym była Bogiem, to każdemu
Dałabym spokój, i światło i zdrowie...
I myśląc o tej wieczystej Wszechmocy,
Którą mi wiara wskazuje w błękicie,
I o tej nędzy, i o łzach tajemnych,
O tych stęsknionych — i smutnych i sennych,
Dla których śmiercią jest życie;
Gubię się w pełnej przerażenia nocy,
I pytam namiętnie: czemu?

Ty mi się nie dziw! Co dziś nie zachwiane?
Co wiecznie pewne? niezłomne, prawdziwe?
Ach! gdybyś wiedział, jak drży serce żywe,
Gdy je w dwie strony targają zwątpienia!
I gdybyś wiedział, jaką krwawą ranę

W piersiach swych mają ci bladzi badacze,
Którzy się w nędzy własnego istnienia
Grzebią, jak w ziemi napół ślepe krety!
Ach! gdybyś wiedział, jak serce im płacze,
Gdy idą, jako złowróżbne komety,
Przez lud, na którym świecą, przeklinane,
Zawsze samotni — i zawsze tułacze,
Odarci z uciech, a nieraz i — z cześci...
I gdybyś wiedział, ile jest boleści,
I ile żądeł — i jadu gorzkiego,
Ile poczucia nędzy i niemocy,
W tem jednem słowie; »dla czego?«
Gdy się je rzuca wśród bezsennej nocy
W niebo, co w gwiazd swych srebrzystej poświacie
Stoi nad ziemią, w cichym majestacie,
Jak badań otwarta droga, —
Tobyś mógł płakać nad dolą człowieka,
Który z śmiertelną trwogą i goryczą
Słowo to straszne wyrzeka,
I, w nieskończonosć patrząc tajemniczą,
O losy ziemi śmie pytać się — Boga!



ZAKWITŁY CIERNIE

I.

Zakwitły ciernie. Krzew bólu i męki
Stanął w śnieżystym bukietów swych puchu,
Od drgnięcia pierwszej skowrończej piosenki,
Od pól podmuchu.

Czarność się jego żałobna odziała
Kwiatem rozkoszy, utkanym misternie,
Gwiazda przy gwieździe drży lekka i biała...
Zakwitły ciernie.

Ale nad czołem schylonem w zadumie
Zawsze się wije ta gałąź kolczata,
Co żadną wiosną zakwitnąć nie umie, —
Wielka, cierniowa korona wszechświata —
Myśl, co kwiat życia tragicznie otrząsa,
I nagich kolców żądłami mózg kąsa...



II.

WIOSNA DO POETY.

Pójdź, pójdź poeto! Pójdziemy na pole,
Jak skowronkowi skrzydła ci rozwinę,
Jak rybkę puszczę na wodną głębinę.
Jak bujnym wiatrom, dam taką ci wolę!

Będziemy słuchać jak zboża szum rośnie,
W błękit wpatrzeni i w chmurek przeloty,
Jak muszka brzęczy, jak huczy żuk złoty,
Jak dzięcioł puka w gęstwinie na sośnie...

Nad jasną strugą siądziemy na trawie,
Kędy się niebo w wód dwoi przezroczu,
Ty będziesz patrzał, jak ciągną żórawie,
Ja, jak łzy jasne padają ci z oczu.

Będziesz mi śpiewał, śpiewał... Wszystkie głosy
Dam fletni twojej. Słowiki uciszę,
By gaje drżały srebrzyste od rosy,
Gdy niemi pieśń twa, jak wiatr zakołysze.

Miesięczną pełnię wyzłocę dla ciebie,
Rankom dam świeżość, a nocom tęsknotę,
I takie gwiazdy rozpalę ci złote,
Jakie świeciły na młodem twem niebie.

Brzozom twym srebrne warkocze rozczeszę,
Z ziół wonnych stopom zaścielę kobierce,
Wszystko ożywię, rozbudzę i wskrzeszę,
Pójdź, pójdź, poeto! —

POETA.

A wskrzesisz ty serce?...



III.

W starości swojej ziemia mnie wydała,
Jak późną parość dąb próchnem stoczony.
Brakło już gliny dziewiczej na ciala,
A dech żywota — wytchniony.
Prochy pokoleń, co życie klnąc marły,
Łzy nie oschnięte, krew świeża, co dymi,
To dziś jest warsztat, to zaczyn olbrzymi,
Z którego ulepia — karły.
O straszna praca! O posępne dzieło!
Niemowląt płaczem napełniać kostnice,
I dawać temu, co w mękach zginęło,
Wzbudzone mąk tych dziedzice!
Na całej ziemi i na całem niebie
Niema, czegoby choć myślą nietknięto...
Ludzkość swe dzieje spożywa w swym chlebie,
A strawa jej jest przeklętą!
Czemże żyć będę? Czy złudą nadziei,
Którą otrute stulecia — konały?
Czy tym puharem, co obszedł z kolei
Pragnień i żądzy świat cały?

Powiemże: miłość? Pod stopy mojemi
Zadrży proch serc tych, co czuły i biły.
Powiem nienawiść? — Pół mórz i pół ziemi
Otworzy swoje mogiły.
Wyciągnę ramię do czynu? — Aliści
Mgliste się dłonie podniosą przedemną,
Jako zwichrzonych jesienią rój liści,
Które opadły daremno...
Drogi ku szczytom i w przepaście drogi
Tragicznym śladem zarówno zdeptane.
Gdzież spocznę? Kędyż miejsce dla mej nogi?
Gdzie życiem odetchnąć stanę?
Gdy własnych myśli i uczuć i woli
Odwracam głowę z boleścią i wstrętem...
Krwawego siewu i cmentarnej roli
Czuję się ziarnem przeklętem.



IV.

W gorzkiej zadumie na tę ziemię patrzę,
I na jej pola patrzę spustoszone,
I widzę nad nią gwiazdy coraz bladsze,
I widzę słońca gasnącą koronę
W mgłach, które smętną przyoblokły nocą
Wszystko, co światłem jest, i co jest mocą.

Kwiaty się nasze skarżą łez swych rosą,
Że woń ich z wiatrem wiejącym ucieka,
Że wiosny nasze nic z sobą nie niosą,
Że od żniw naszych nikt chleba nie czeka...
Kwiaty się nasze skarżą... Ja je słyszę,
Gdy myślą w zmierzchy zapadnę i w ciszę.

I coraz więcej słabości i drżenia,
Marnych porywów i marnych przestrachów
Czuję, dłoń kładąc na serc uderzenia...
I stoję cicha wśród pustki tych gmachów,
Gdzie w prochu leżą strzaskane filary.
I myślę — jaki świat smutny i stary!

Węże, co idą w wilgotne swe nory,
Odmieniać z grzbietów skóry twardniejące,
Na starych dębach popękane kory,
Które wiatr łupie, a wysusza słońce —
Mniej strupieszałe są i mniej mogilne,
Niż ty, o serce wieku! O bezsilne!!

Nawet motyla nie spłoszysz swem biciem,
Nie stargasz nawet i pajęczej przędzy...
Jedna z fal morza, co zowie się życiem,
Już cię ogłusza — drzemiące w swej nędzy...
I jeden oddech szerokiej przestrzeni
Przeraża ciebie, iż krew twą rumieni!

O, wiem już teraz jaką daje karę
Bóg, w ziemskich piekieł najgłębszej głębinie!
— On czyni ludy zastygłe i stare,
Siedzące w zmierzchach na własnej ruinie.
On ich spojrzeniem wstrzymuje zagasłem
Czas, by nie buchnął okrzykiem ni hasłem.

O, wiem już teraz, jak Bóg dzieje pisze
Tym, co ich stworzyć nie mają dość siły!
— On żywych wtrąca w grobowych snów ciszę,
W własnej niemocy pogrąża mogiły,
I rozsypuje ich kości na pole,
Wziąwszy im duszę życia — życia wolę.



V.

Jeżeliś cieniem, rozwiej się przedemną,
Niech nie wyciągam do Ciebie daremno
    Ramion z wieczystą tęsknotą!
Niechaj pożary nie trawią mi ducha,
Gdy noc ta cicha, milcząca i głucha,
    Pochodnię rozpala złotą.
Wstań w blaskach słońca, lub wróć się do rdzenia
Wiecznych tajemnic! Niech mego pragnienia
    Nie drażnią zdroje zwodnicze!
Czemu, jeżeli poznać cię nie mogę,
Olbrzymia maro, zachodzisz mi drogę,
    Zakryte mając oblicze?
Czem jesteś, powiedz, czem jesteś w swej treści?
Czy ciebie duchy zrodziły w boleści,
    Jak matka rodzi swe dziecię?
Czy nie ujęte i mgliste Twe ciało
Z tęsknot, z pożądań, z pragnienia powstało,
    Z łez tych, co płyną na świecie?
Czyś ty jest złotej jasności odbicie

Od smutnych źrenic, utkwionych w błękicie,
Jak słońce drżące w łzach rosy?
Czy z oceanów podniosłeś się tchnienia,
Wielki, a mglisty, jak senne marzenia,
Aby zapełnić niebiosy?
Czyś powstał z burzą, co gromy swojemi
Wstrząsała zręby tracącej dech ziemi,
Ciskając globy w odmęty?
Czy imię Twoje zostało nazwanem
Gdy człowiek kornem uderzył kolanem
Przed zgrozą, wołając: »święty!«
Czy cień Twój wtedy opadał na światy,
Gdy trysły z pąków wiosennych róż kwiaty,
I pierwsze tchnienie miłości?
Gdy pierś wezbrana rozkoszą bez końca,
Własną potęgą rzuciła wskróś słońca
Marzenie nieskończoności?
Czyś pierwej był Ty, czy duch ten stęskniony,
Co patrząc w światów gwiaździstych miliony,
W ciche, błękitne przestworze,
Ogarnion dziwem, i trwogą, i mocą,
Rwał się, jak ptaki, co w skrzydła trzepocą,
I pierwszy zawołał: »Boże!«
O, kto mi powie?... O, kto mi to powie?...
Byt wiekuisty, zamknięty w mdłem słowie...
Otchłań — w koronie wszechmocy...
Cień majaczący kształtami olbrzyma,

Co mnie porywa, i więzi, i trzyma,
    Drżącą w śmiertelnej niemocy!
W ucisku ducha słyszę, jak nad głową
Przepaście toczą skałę Syzyfową
    Wiecznych zagadnień istnienia...
Wyciągam dłonie w noc głuchą, w noc ciemną...
Wkoło mnie, we mnie, pode mną, nade mną,
    Ty — pełen błysków — i cienia!



VI.

Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,
Kędy przed wzrokiem, wpatrzonym w wszechświaty,
Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie,
Jak tęcz mdlejących szkarłaty.
Nigdy nie spocznę w błękitnej tej ciszy,
Gdzie duch, ukojon oddechem wieczności,
Ledwo, że czuje i ledwo, że słyszy,
Namiętne skargi ludzkości.
Nigdy łez gorzkich, co płyną gorące,
Choćby w nich błękit odbiły niebiosy,
I złote strzały złamało w nich słońce,
Nie nazwę kroplami rosy.
Nigdy mi wiedza tej nie da pociechy,
Bym złe i dobre, i ból i uśmiechy,
Brała za jedno, co tylko się zmienia
Z punktem naszego widzenia.
Nigdy nie dojdę przez śniegi i lody
Do olimpijskich słonecznych tych szczytów,
Kędy łez niema i niema zachwytów,
Lecz tron wieczystej pogody.

Ja będę latać, jako ptak zraniony,
Nisko, nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miliony!
I — jak jaskółka — bijąc w skrzydła drżące,
Latać ja będę nad niskie zagrody,
Nad pola nasze i lasy szumiące,
I modre wody...
W miesięczne noce, za mgłami srebrnemi
Posłyszę i skargi i rany obaczę,
I pytać będę uśpionej tej ziemi:
Kto tam tak płacze?
I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
Błękity wstrząsać będę mym protestem...
I gdy Bóg spyta: »Sąż smutni na świecie?«...
Odpowiem: — Jestem!



VII.

Czy ty pamiętasz ten wieczór majowy,
Gdy w szał ironji wpadliśmy oboje,
Nielitosnemi wyśmiewając słowy
Własne tęsknoty, trwogi, niepokoje,
I ten błękitny urok, co do głowy
Przewiewa marzeń niepochwytnych roje,
I uniesienia i pragnień wybuchy,
I wszystko, czem się karmić zwykły duchy?

Czy ty pamiętasz, jak, pełni goryczy,
Patrząc na siebie oczyma smutnemi,
Z łez my szydzili, których nikt nie liczy,
I z beznadziejnych wysiłków tej ziemi,
I z ducha, który pełza niewolniczy,
Lub rwie się w górę skrzydły złamanemi...
I z mglistych celów, na które brak miary,
Z deremnej pracy — i ułudnej wiary?

I z tych porywów, w niemocy poczętych,
Po których ludzkość znów w mroki zapada;

Z błogosławionych duchów — i z przeklętych,
Co w nicość lecą, jak grzmiąca kaskada...
Z nieśmiertelności wizyi nieujętych,
Zrodzonych w zmierzchu, jak dziwna ballada...
I z mędrców, którzy czołem zadumanem
Napróżno biją przed wielkiem Nieznanem?...

I czy pamiętasz, jak z nagłym wybuchem
Gorzkiego śmiechu, co duszę rozrania,
Staliśmy bez słów, w rozdrażnieniu głuchem,
Przed tym olbrzymim znakiem zapytania,
Patrząc się okiem błyszczącem i suchem
W przepaść nicości, którą On osłania...
Aż tchu nam brakło — i tak ledwo żywi,
Staliśmy, zdjęci zgrozą, nieszczęśliwi!

Tyś krzyknął wreszcie, by chociaż tym krzykiem
O rzeczywistość jakąś się zahaczyć...
Bośmy nie mogli już zwykłym językiem
Rozpaczy naszej i bólu tłomaczyć...
Jakto! być wiecznym złudzeń niewolnikiem?
Konać — i celu życia nie obaczyć?
I być rozbitym w ostatniej godzinie,
Jak pusta czara po wypitem winie?...

Och!... I znów milcząc, staliśmy tak chwilę,
W otwartem oknie, tłumiąc serca bicie...

Gwiazdy, jak złote lecące motyle,
Rozstrzęsły blaski po ciemnym błękicie,
Noc w królewskiego majestatu sile
Ciszy swej sama słuchała w zachwycie,
I żaden odgłos lekkiemi skrzydłami
Nie przewiał między ciszą tą — a nami.

Nie wiem, jak długo zaduma ta trwała;
Gdym się ocknęła. Na czole twem bladem,
W niebo zwróconem, zórz jasność gorzała,
Jak nieśmiertelnej potęgi dyadem...
Wzrok twój przebijał lazury, jak strzała,
Mnie łzy z źrenicy srebrnym biły gradem...
Aż wreszcie głosem, co duszę przejmuje,
Rzekłeś: »On przecież jest tam!... ja Go czuję!...«



VIII.

O dniu, co jako pątnik pobladłeś znużony
I sam przed sobą w cieniów kryjesz się zasłony,
Powiedz, gdzie ty prowadzisz całą ludzką rzeszę?
Gdzie poszły już miliony? Gdzie ja z niemi śpieszę?

Porywam się do lotu, dech tracę w pośpiechu;
Nie mam chwili dla szczęścia, dla snów, dla uśmiechu...
Jakaś ogromna, ślepa unosi mnie siła...
Czuję, że mnie coś woła, — śpieszę — to mogiła!

Znikam, tracę kształt, nazwę, ulatniam się, gasnę!
To, co było mną wczoraj, dziś nie jest mi własne...
I miłość, i nienawiść, ster życia przewodni,
Zdmuchnięte z mojej duszy, jak płomień z pochodni.

Gdzie jestem? — Czy, rozwianą po rosach na łące,
Pałającą źrenicą wypatrzy mnie słońce,
I wypije mą duszę z kielicha tej róży,
Tak, jak pije łzy ludów, łzy mórz i łzy burzy?

Gdzież jestem? — z mgłą poranną wiatr rozniósł
[sny moje,
Szumią w samotnych lasach ducha niepokoje...
Żar piersi mej przechodzi w bijący puls ziemi,
A tęsknoty się skarżą nocami cichemi!



IX.

W ciszy nocy głos bije aż do niebios progu:
— »Dopókiż przestępce ducha,
W purpurę form odziani, bluźnić będą Bogu?
Pókiż synowie ciemności
Będą wodzami ludów na drodze do słońca?
I pókiż rzesza skalana,
Między ofiarnikami stać będzie ludzkości,
U przenajczystszych ołtarzy?«

W ciszy nocnej głos pomsty bije aż do Pana,
A noc w zadumie go słucha,
Srebrna od łez, od westchnień ziemi cała drżąca...
A nad jej czołem się żarzy
Gwiazda, jako dyament w szafirów oprawie...
— »Zawezwę przed twoje sądy
Zbrodnie wielkich, co jadem przegryzły oblicze
Uciśnionej twojej ziemi...
Jak śniegiem rozsypane, zaraźliwe trądy
Przed majestat słońca sławię,

Po imieniu nazowię, i liczbą wyliczę,
    I wypiętnuję nazwisko
Jaszczurczego rodzaju, co nieprawość swoję,
    Jako na brudne śmiecisko,
Na dzieło ręki Twojej wytrząsa wzgardliwie...
    Ty sprawiedliwość czyń z niemi!«

Głos pomsty w ciszy bije aż do niebios progu,
    Dziwne jakieś niepokoje
    Rozwiewają oddech nocy...
Mgły białe, jako duchy, niosą się pierzchliwie.
    Gnane podmuchem przemocy...
Jakaś tęskność, omdlenie, i ucisk, i trwoga,
    Ogromną skargę milczenia
    Rzuca w niebo pełne cienia,
Pod którem ziemia leży, jak lutnia strzaskana.

W ciszy nocy głos pomsty bije aż do Pana:
    — »Oto człowiek, co w dni owe,
Z potu i łez sług swoich utkane bogato,
    Nosił szaty szkarłatowe,
I łoże snu swojego przykrywał makatą,
    Z łez i potu sługi swego.
A kiedy ten zachorzał i nie mógł, omdlały,
    Zarobić chleba czarnego,
Pan z mizernej zapłaty odliczył grosz mały,
    Aby się więcej zbogacił,
I nędzarzowi grosza tego nie dopłacił«.

Wiatr powiał — i od ziemi poniósł jakieś szumy
    I nieukojone żale...
Lekkich, mglistych oparów rozwichrzone tłumy
    Wstają — i biją, jak fale,
O zamknięte podwoje milczącego nieba.,.
    Zmieszane słychać wołanie,
Jakoby głos pacholąt: »chleba, ojcze, chleba!...«
    A w nędznej, zapadłej chacie,
    U Hiobowego barłogu,
Drży gromniczny ogarek w miesięcznej poświacie,
Krwawe łuny rozwodząc po wilgotnej ścianie...

    — »A oto jest człowiek, który
Głosi, iż miłosierdzia Pan chce, nie ofiary...
    I wielbi mądrość natury,
Co wylała nań hojnie wszystkie swoje dary,
    A nędzę stworzyła na to,
Aby, bóstwu podobny, mógł pełnić na ziemi
    Miłosierdzie nad biednemi.
    Lecz gdy o wieczornej porze
Zaszła mu krok w ciemności płacząca sierota,
    Okryta nędzy swej szmatą,
Iż żaden głośny chwalca cnoty za garść złota
    Jałmużny jego nie liczy,
Rzecze z szyderstwem krwawem i pełnem goryczy:
    »Niech cię śmierć rychła wspomoże«! —
A wyrzekł to w obliczu natury — i Boga!

A gwiazda, ze zgrozy zbladła,
Widziała, jak sierota, chwiejąc się, upadła.

Głos pomsty bije w ciszy aż do niebios proga...
A noc stroskana go słucha,
Dyademu swojego gasząc blaski drżące,
Aby o śmierć tego ducha
Nie pytała jej zorza, świt biały i słońce.

Ucichło w powietrzu łkanie,
Jako piersi zmęczonej długim, ciężkim płaczem,
Opadły lekkiej mgły szarfy,
Głos pól i chat w westchnieniu rozwiał się echowem.
A pokąd cisza ta trwała,
Ludzie senni marzyli o wiecznym pokoju
I o obfitości ciała,
I mówili. »Spokój nam, iżeśmy dożyli
Tej błogiej spoczynku chwili,
Iż umilkły jęczących skargi już na wieki«.
I zamykali powieki.
Lecz przyszedł wicher mocny i zatrząsł świat. Zaczem
Powstało w górach wołanie,
Jakoby ducha, co się obwołuje słowem,
Na wiecznych lodów strażnicy,
I uderzyły morza w srebrne swoje harfy,
I zakipiała mórz piana...
I porwały się rzeki skrzydłami mokremi,

Każda ze swojego zdroju,
Aby szły, płacząc łzami, po łanach tej ziemi...
A jako głos nawałnicy,
Co bije w organ, pełen skrzydlatych płomieni,
Podniósł się wskróś nocnych cieni
Głos pomsty — i uderzył o tron niebios Pana.



X.

O ludy, zbudźcie wy Tego Chrystusa
Z marmurów ciszy!
Bo oto na świat przychodzi pokusa,
I otchłań dyszy.
Bo oto słychać spękanej gdzieś struny
Jęki i zgrzyty —
I wiatr przeciąga — i idą pioruny,
By bić w błękity.
Do dna zmącone, jako morza fale,
Duchy się chwieją...
Jakieś rozruchy, i skargi, i żale,
W powietrzu mdleją...
Słychać chorego serca głośne bicie
W piersiach ludzkości...
Siłą zniszczenia wyrywa się życie
Do swej przyszłości,
I rozpłomienia nawałnic oddechem
Myśli ogniska,
I na mdłych formach, lepionych z pośpiechem,
Piętno wyciska!

Kto idzie — nie wie gdzie dąży; kto czeka,
Nie wie dla czego?
Ciemną jest, straszną, ta droga daleka,
Gdzie ludy biegą!
Nim słońce wzejdzie nad ziemię zagasłą,
Rzesz ludzkich wodze
Piorun obrali za znamię i hasło
Na swojej drodze!
Zbudźcież wy Tego, co karmi łaknące,
Spragnione poi,
Niechaj zażegna te fale kipiące,
Niech je ukoi!
Zbudźcież wy Tego, co nagie okrywa
Krajem swej szaty,
Bo już się burza rozbłyska i zrywa,
By wichrzyć światy!



GDZIE JEST MÓJ DOM?

I.

TĘSKNO MI...

Tęskno mi! Do tych pieśni tęskno mi urwanych,
Którym wolno na usta wybiedz przez połowę...
I w słowach w pół stłumionych i w pół okowa-
[nych,
Z najbliższemi prowadzić daleką rozmowę.
Tęskno mi! Do cichego tęskno mi westchnienia,
Co upada mdlejące na uśpione róże,
A pod myśli dotknięciem w wicher się zamienia,
I budzi w bratnich duchach piorunowe burze.

Tęskno mi! Do serc waszych, jak do żywej lutni,
Wyciągam drżące dłonie, chcę ich dotknąć zblizka...
Chcę grać na nich pieśń nową, smutną — bo wy
[smutni,
Pełną bólu — bo wam też ból piersi uciska.

Nie znam was, nie widziałam — i wy mnie nie
[znacie.
A przecież jam nie obca i związana z wami.
Tak brzoza zasadzona przy wieśniaczej chacie
Dźwięczy piosenką chaty, i płacze jej łzami...



II.

GDZIE JEST MÓJ DOM?

Gdzie jest mój dom? Czy tam gdzie marzeń roje
Budują świat z mgły ułud, z pieśni czaru...
Gdzie lube sny kołyszą serce moje,
Gdzie poi mnie szumiący zdrój nektaru?
Czy tam, gdzie czyn w żelaznej ma prawicy
Pochodnie zórz i wieków ciężkie wagi,
I świeci w dzień ogniskiem swej źrenicy,
A w ciemną noc dobywa miecz swój nagi?

Gdzie jest mój dom?... Czy tam, gdzie smutek [cichy
W przestrzeni drży; jak skarga konająca,
Gdzie srebrne łzy padają w róż kielichy,
Gdzie nocom gwiazd, porankom braknie słońca?
Czy tam, gdzie ból, krwawiący świat przez wieki,
I wszystek trud, i wszystkie hasła boju,
W stłumiony krzyk zlewają się daleki,
I płoszą sny widmami niepokoju?...

Czy tam mój dom, gdzie stoją białe trony
Wieczystych prawd, wśród ciszy majestatu,
Królując nam bez berła i korony,
I pchnięciem w ruch rozkazy dając światu?
Czy tam mój dom, gdzie źródła wiedzy płyną,
I w ludów krew wlewają żywe prądy?
Gdzie w szary świt zdobywcy słońca giną,
Wpatrzeni w wschód, skąd wstają nowe lądy?

Gdzie jest mój dom? Czy tam, gdzie silni stoją,
Zgromiwszy lwa w swej piersi walką męską?
Czy tam gdzie ci, co drżąc się niepokoją
Przed chwilą burz bolesną — choć zwycięską?

Czy tam, gdzie szał otwiera swe ramiona,
Płomiennych fal czarując upojeniem...
Gdzie burzą tchnień rozkoszy drga zasłona,
Gdzie życie jest i czarą — i pragnieniem?
Czy raczej tam, gdzie duchy, jak gołębie,
Białością piór zlewają się promienne,
Gdzie smętny wzrok zapada w tęsknot głębie,
Myśl budzi się — a żądze milkną senne?...

W błękitną dal wędrowny ptak odlata,
W głębinę wód samotna łódź wypływa...
Ach! mamże ja tak zawsze wpośród świata
Zbłąkana żyć, jak cień, co nie spoczywa?

Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału?
Gdzie przystań jest dla wszystkich walk i trudów?
Ach, gdzie jest cel, krwi godny i zapału,
I życia chwil, i wielkich dążeń ludów?
W skarb drogi swój swe serce człowiek wkłada,
Jednocząc w nim żądz swoich niepokoje,
Jaż tylko mam z przestrachem pytać blada:
Gdzie jest mój dom, mój dom i wszystko moje?

Idę — i drżę — i wracam przerażona,
I obcy świat otacza mnie dokoła...
Ach! gdzież jest dłoń przyjaźnie wyciągniona,
Gdzie drogi głos, co na mnie: »pójdź!« zawoła?
Gdzież skłonię skroń i gdzież ja się ukoję,
Gdzie płynąć dam tym wstrzymywanym łzom?
Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?
Gdzie jest mój dom?!



III.

CZEM JESTEŚ?

Leciećbym chciała daleko... daleko...
Gdzie z brzóz płaczących srebrne rosy cieką,
Kędy szum lasów pierś przejmuje drżeniem...
— Czem jesteś, szczęście? — Wspomnieniem?

Leciećbym chciała tam, gdzie olchy rosną,
Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,
Gdzie się powoje, jak baśń dziwna, plotą...
— Czem jesteś, szczęście? — Tęsknotą?

Leciećbym chciała — za jasnym gdzieś zdrojem
Myśl puścić wolno, jak wody bieżące...
I widzieć tylko łan zboża i słońce...
— Czem jesteś, szczęście? — Spokojem?

Leciećbym chciała, lecz nie wiem do czego
Wyciągnąć ręce i przywrzeć płomieniem...

Idę — a za mną cień smutku dawnego...
— Czem jesteś, szczęście? — Złudzeniem?

Leciećbym chciała do chwilek tych jasnych,
Gdy życie pragnień nieświadome własnych,
Jest jako blaski, co na wschodzie dnieją...
— Czem jesteś, szczęście? — Nadzieją?

Leciećbym chciała... sen cichy, sen złoty,
Prześnić samotna i konać z tęsknoty,
I »kocham« mówić dalekiem spojrzeniem...
— Czem jesteś, szczęście? — Pragnieniem?

Leciećbym chciała i nie wrócić więcej...
Raz tylko serce uderza goręcej,
A potem cisza... wszystko się prześniło...
— Czem jesteś, szczęście? — Mogiłą?



IV.

WIELKI TY JESTEŚ...

Wielki ty jesteś, serc królu, poeto!
Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę,
I na błyskawic pełnem nosisz czole
Znamię geniusza, który jest kometą
Na ciemnem wieków i narodów niebie...
Wielki ty jesteś, czczę ciebie!
Pieśń twa potężna, szeroka, natchniona,
Grzmi wpośród tłumów zdumionych milczenia,
I poi rosą ginących z pragnienia,
I chlebem jest dla miliona,
I jak krew wrząca przelewa się w żyły,
I nieśmiertelna jest i bez mogiły!
Komu raz dłoń twa na czole położy
Ognistą pieczęć hańby, lub wielkości,
Stoi przez wieki całe wśród ludzkości,
Rozbudza zapał, unosi, lub trwoży.
Tyś król: gdy skiniesz berłem brylantowem,
Ziemia drży, ludy dzielą się twem słowem.

Piękności wiecznej jesteś poślubiony.
Tłum lekkich duchów służyć ci przylata...
Świat nowy stwarzasz wśród starego świata,
Strącasz w przepaście, i rozdajesz trony...
I jesteś, jako pomnik swojej ziemi,
Który Bóg wykuł rękoma własnemi.

Lecz większy jesteś ty, o myślicielu,
Co głosisz prawdy odwiecznej ustawy,
I idziesz cichy, samotny, bez sławy,
Do nieznanego dla współczesnych celu,
I widzisz ruchy tajemnicze wieku...
    Tyś większy! Cześć ci, człowieku!
Słowo twe ciche drżeć sercom nie każe,
Ni łez wylewać, ni wzdychać z nałogu,
Lecz jest jak owe najświętsze ołtarze,
    Przy których duch służy Bogu.
I jest jak jasne dyamentowe miecze,
Rozcinające wgłąb piersi człowiecze.
Cóż tobie tłumy? ich oklask i wrzawa,
Namiętnych wzruszeń wybuchy i szały?
Tryumf twój cichy bywa, jak te prawa,
Co niewidomie obejmują cały
Wszechświat bez walki, zemsty i miłości,
I są przyrody duszą i ludzkości.
Cóż tobie tłumy? Czyż prawda poznana
Większą jest prawdą? Czy, gdyby przed progiem

Świątyni niebios nikt nie zgiął kolana,
Bóg przestałby się zwać Bogiem?
Czy nieskończoność, zaślubiając ducha,
Liczy, kto patrzy na nią, kto jej słucha?
Zamknięty w ścianach swej cichej komnaty,
Samnasam z myślą, co światy obiega,
Uniesień swoich nie nosisz, jak szaty
Jaskrawej, co tłum podżega;
Ale dumania twe i łzy zachwytu
Noc tylko widzi oczyma z błękitu...
Lecz kiedy duch twój samotny, daleki
Od czczego tłumu, skrę wykrzesze z siebie,
Jaśniej, słoneczniej robi się na niebie,
I cichsze przychodzą wieki...
I ludzkość czuje, że jej coś przybyło,
I naprzód idzie z podwojoną siłą.
Królestwo twoje nie jest z tego świata;
Do twego szczęścia nie trzeba ci zgoła
Oklasków tłumu; a twoja zapłata,
To wieczna pogoda czoła.
Krwi, co ci z serca wytryska goręcej,
Ty nie sprzedajesz, krzycząc: »kto da więcej?«

Ktokolwiek wstąpił bez łez i bez drżenia
Na beznamiętne, błękitne wyżyny,
Kędy się waży punkt wieczny ciążenia,
A nieodzowne i płodne przyczyny

W nieskończoności tkwią, jako kotwice,
Rzucone w przepaść, w zmrok i tajemnice,
Ten wie, jak można uczuć się spokojnym,
Czystym i cichym, i blizkim wieczności,
I zapatrzonym w światło, i dostojnym,
        I przodującym ludzkości.
Któż z tych, co kiedyś dosięgli tych szczytów,
Nie zna Keplera modlitw i zachwytów?

O! nieśmiertelny prawdy oblubieńcze!
Duchu, co niczem ziemskiem, ni znikomem
Nie gasisz żądz swych, lecz wpatrzony w tęczę
Słonecznych światów, rośniesz ich ogromem,
I wzlatasz, ponad serc bicie i drżenie,
Tam, gdzie jest prawda, Bóg, ty, — i milczenie, —
O Duchu! czyż się nie czujesz czemś świętszem,
Czemś innem, wyższem nad tłum, co się wzrusza?
Czyż ukochaniem światła najgorętszem
        Nie potężnieje twa dusza?
Czyż nie jest większym umysł, co docieka
Prawdy, od królów?... Niemal — od człowieka?

Pieśni potęga tłum wrzący porywa
Do tych poziomów, gdzie pieśniarz przebywa,
I wieść go może od światła do cienia,
Od bohaterstwa aż do upodlenia.

Może palącym żarem swych pochodni
Obudzić zapał do cnoty, lub zbrodni.
Bo fałsz tak wielkim, jak prawda, być może,
A tłumy wszystko, co wielkie, porusza,
I drżeć im każe... Więc jeśli twa dusza,
Poeto, nie jest, jak naczynie boże,
W którem kosztowna perła jest zamkniętą,
Pieśń twa być może wielką, a przeklętą!
Lecz myśl badacza jest, jak struna drżąca,
Rozpięta między przyrodą a duchem,
Którą Nieznane rozdźwięcza, potrąca
Wieczystym skrzydeł swych ruchem...
Jej droga pewną jest, jak słońca droga;
Co w niej istnieje, istnieje u Boga.
Obcą jej walka namiętna, burzliwa,
Prawd względnych, duchów złamanych napoły;
Ona konieczną siłą, jak żywioły,
Wiąże swe złote ogniwa,
I urojoną nie płacze żałobą,
I rzeczywistość swą ma po za sobą.

Poeta, daje brylanty, i kwiaty;
Łzy, i uśmiechy rozrzuca ludzkości...
Ale myśliciel odkrywa jej światy
I nowe drogi przyszłości.
Z poetą serce nasze się sprzymierza,
Nasze zachwyty i nasze boleści...

Ale myśliciel nigdy nas nie pieści,
    Lecz, jak konieczność uderza.
Poetów miały ludy już gasnące,
Co w lutnię tchnienie ostatnie przelały...
Lecz myśliciele rodzi nowe słońce
    I pełne sił ideały.
Poeta wschodzi, jak kwiat, który sieje
Wiosenny ranek na łące, nad strugą...
Ale myśliciel jest krwawą dosługą
    Narodu, co zna swe dzieje.

Módl się więc, smutny i stojący w cieniu,
W koronie blasków zgaszonych, narodzie!
Niechaj pieśń wielka poi cię w pragnieniu,
A myśl niech karmi cię w głodzie!



V.

ANIOŁ MILCZENIA.

Z lutnią, po której złote struny biegą,
Klęczę na rąbku szaty Najwyższego,
I białe czoło obracam w tę stronę,
Kędy wirują globy rozpalone.
Przejrzystą dłonią wygładzam etery,
Echem miarkuję rozśpiewane sfery,
By nie przerywać ciszy majestatu...
I — pokój... pokój... pokój! — szepcę światu.

Byłem, gdy z myślą Bóg rozmawiał własną,
Byłem, gdy w służbę wziął jutrzenkę jasną,
Byłem, gdy z mgławic, co mu zdobią szaty,
Strząsał dzień biały i słoneczne światy.
W pierwszem zwierciedle błękitnego morza
Jam się przeglądał, zanim weszła zorza,
I zanim z pąków wytrysnął rój kwiecia,
Niosłem na łonie pokoju stulecia.

Tam, kędy z okiem opuszczonem stoję,
Dogrzmieć nie mogą ziemi niepokoje,
Żywiołów burze ja trzymam w granicy,
Bom jest skinieniem wszechmocnej prawicy.
Kiedy nad zakres do przyszłości biegą
Harde pytania: »poco? i dlaczego?
Ja w jasnych palcach wstrzymuję zasłonę,
Którą od dzisiaj jutro oddzielone.

Między błysk gromu a grzmot — stopę stawię,
I rosą polnym kwiatom błogosławię.
Na skrzydłach moich wioskę twą kołyszę,
Smutnych łzy liczę i westchnienia słyszę...
W ciszy twych gajów, w poranki majowe,
Tęsknem dumaniem poświęcam twą głowę
I ducha twego prowadzę po niebie,
Byś, »siadł i zamilkł i wzniósł się nad siebie«.

Ja płaszcz królewski rzucam na ramiona
Milczącej nędzy, co w ukryciu kona,
A dłoń wychudłą podnosząc z barłogu,
Samemu tylko spowiadam się Bogu...
Ja balsam daję na palące rany,
Ja dźwigam z tobą ból niepodzielany,
Ja tułaczowi pot ocieram z czoła
I z samotnikiem zasiadam u stoła.

Mędrca mądrością jestem i rozwagą,
Myślicielowi daję prawdę nagą,
A jako źródło, bijące od wieka,
Wzmagam, oczyszczam, podnoszę człowieka...
Jam jest wymową grobów i cmentarza,
Urokiem nocy, powagą ołtarza,
Jam jest rapsodem dziejowym ruiny,
Pociskiem wzgardy i rumieńcem winy.

Kto mnie ukochał, znalazł skarb pogody,
Pokoju ducha i ciszy i zgody;
Zgiełkliwa zgraja pierzcha i ucieka
Od milczącego w zadumie człowieka.

Ja jestem słońcem, pod którego żarem
Dojrzewa zamysł, i jam jest ciężarem,
Którego słabi podźwignąć nie mogą...
Jestem potęgą, której zdeptać nogą
Nie podołają najwięksi mocarze...
Ja jestem siłą, co zniewagę karze...
Jam broń niewinnych i pomsta straszliwa,
Od której zbrodzień tajny dogorywa.

Nad popiołami zwyciężonych grodów
Otrząsam z skrzydeł nadzieje narodów,
Lecących w próżnię, jak wymietna plewa,
Którą wiatr przed się drażni i rozwiewa...

W bladych klęsk ślady postępuję krwawe,
Z nędznym skazańcem jedną dzielę ławę,
Na zgliszczach śpiewam Hiobowe pienia,
I jestem czarną chorągwią zniszczenia.

Najbliższy Panu i najmilszy Panu,
Ja z perłą padam na dno oceanu,
I z ciszą morską odbywam narady,
Których z przestrachem słucha sternik blady.

Nad bojowiskiem wyciągam ramiona,
Jestem modlitwą tego, który kona,
I jestem krzykiem matki, gdy przybieży
Odszukać syna wśród trupów żołnierzy,
I krew jej ścinam, i wstrzymuję tętna,
I na niej żywej — trupa kładę piętna.
A przy kurhanie, co zamknął dzień czynu,
Ja staję w miejsce pomników, wawrzynu,
I tam, gdzie zimny dziejopis nie słucha,
Gwiazdom skon mężnych podaję do ucha.

Pod krzyżem Zbawcy, gdy wiara i miłość
Rzuciły w żalu Golgoty pochyłość,
Kiedy odchodził setnik do bram miasta,
Gdy włos stargany wiązała niewiasta,

Gdy noc zgłuszyła żołnierstwa okrzyki,
A rozgwar ciżby omdlewał już dziki:
Jam został jeden i słyszałem z drżeniem
Jęk Boga... Ziemio! módlmy się milczeniem!



VI.

TĘSKNOTA.

Wpół senne duchy owiewa
Przeczuciem świtu,
W zmroki wiosenne przywdziewa
Szatę z błękitu...
Ucisza gwary i szumy
Skinieniem ręki...
Lirnikom szepcze ich dumy,
Ptaszkom — piosenki...
Poezyą w krwi młodej płynie
Z cichym szelestem,
Spłonionej mówi dziewczynie:
»Oto ja jestem«;
Na smutnem licu drży cieniem
Spuszczonych powiek,
I w pierś ci puka pragnieniem:
— »Zbudź się, tyś człowiek! —
Wśród tłumu staje milcząca,
Niby sierota,

I myśl uśpioną potrąca —
Święta tęsknota.

Zwycięską prawdy potęgą
Ducha uderza.
Czoło pochyla nad księgą,
Krzepi szermierza...
Do ideałów ramiona
Wyciąga drżąca,
I w piersi chwyta spragniona
Złote skry słońca.
Nad bladem czołem czcicieli
Chwałą wybłyska...
Unosi z wieków topieli
Ducha zjawiska...
Potężnem pragnień poczęciem
Rodzi olbrzymy,
I ust zdmuchuje dotknięciem
Czczych rojeń dymy.
Kogo poślubi, ten szczyty
Orłem przeleci,
Aż ujrzy ciche błękity, —
Przystań stuleci, —
I już nie zazna pokoju
Cichej godziny,
Aż się napije u zdroju
Wiecznej głębiny.

W mędrcu rozbudza pragnienia
Podniosłe, czyste,
I wraża w ludów sumienia
Prawdy wieczyste.
Jest tchem idącej ludzkości
W pracy i w znoju,
Uśmiechem nieskończoności,
Sztandarem w boju,
I wschodzi w ducha głębinie
Cicha i złota,
Aż w blaskach wiedzy wypłynie — —
Gwiazda — tęsknota.

Drży, woła czynu, płonąca,
Ziemię popycha
Przez noc chaosu — do słońca,
Walką oddycha.
Pierś jej — to wulkan. Jej oczy —
To zorza krwawa;
Przez śmierć do życia, grzmiąc, kroczy,
Przez gwałt — do prawa.
Dłońmi własnemi rozrywa
Pąki przyszłości,
I na dzień biały dobywa
Kwiaty ludzkości.
Wre, milcząc, i tajemnicze
Roznieca żary,

A gdy odsłoni oblicze,
Świat trzeszczy stary.
Jady krzywd zbiera i mierzy,
I pije blada...
Aż gdy godzina uderzy,
Piorunem spada.
Walczy i pragnie, i płonie,
Duchami miota,
I chodzi w ogniów koronie —
Burza, tęsknota.

W wygasłe wpatrzona światy,
W gwiazdy strącone,
Na piersiach zeschłe ma kwiaty,
Z dumań zasłonę.
Zliczyła wszystkie mogiły,
Wszystkie ofiary...
Do walki brakło jej siły,
Celu i wiary.
Co ziemskie, rzuciła ziemi;
Dziś, z sercem zgasłem,
Oczyma patrzy cichemi
Za wiecznem hasłem.
Groby miłością oplata,
Jak gniazdo puchem,
Na świecie, lecz nie ze świata,
Cieniem jest, duchem...

Czar wspomnień, ból rozłączenia,
To jej istota...
Życie, jak powój — ocienia,
Cisza, tęsknota.



VII.

NADZIEJA.

Tchnieniem ust twoich przed tobą niesiona,
Wzlatam w błękity, jak przędze pajęcze
Marzeń, z srebrnego wysnute wrzeciona
W zorze i w tęcze.
Gdy pierś twa błogim spokojem oddycha,
Różaną stopą dotykam się ziemi,
I staję wtedy przed drzwiami twojemi
Prosta i cicha.
I chodzę z tobą po izbach twej chaty,
Po twoich polach, i po twoich łąkach,
I budzę róż twych wiosenne szkarłaty,
Drzemiące w pąkach...
Chodzę tak blizko, że tylko nas dzieli
Tych kilka chwilek, co zbiegną do końca,
Zanim się zorza różowa wybieli
W promieniach słońca.
Dobrze mi z tobą — i tobie też ze mną!
Nikt z nas w głębiny tajemne nie patrzy,

Nikt się z nas troską nie dręczy daremną,
Codzień to bladszy.
Pókiś ty cichy — i ja nie mam siły
Podnieść się wyżej nad wioski twej dymy,
Nad lasów twoich wiekowe olbrzymy,
Nad twe mogiły.
I tylko czasem, gdy serce się zwierza
Z tajnej tęsknicy, w błękitne obszary
Do gwiazd ulatam, jak słowa pacierza,
Pełnego wiary.
Lecz kiedy pierś twa rozszerzy się nagle,
Gdy płomień ducha twój oddech rozpali,
Rozwijam skrzydła z tęczowych opali,
Jak lekkie żagle...
Zrywam się, wzmagam, i lecę za światy,
Żarem twych pragnień namiętnych niesiona...
Cień mój, daleki od cichej twej chaty,
W mgłach sinych kona...
Im gorętszemi wzywasz mnie przysięgi,
Im dalej goni za mną twa źrenica,
Tem szersze, wyższe przepłomieniam kręgi,
Jak błyskawica.
Gdy konasz z tęsknot i wznosisz ramiona
Do dalekiego rozświtu przyszłości,
Jam tak daleko, jak mglista zasłona
Nieskończoności!

Gdziem cię nie wiodła! Gdziem z tobą nie była,
Ją — twoja słabość i ja — twoja siła!
Gdzieś cię nie rzucał, trawiony pragnieniem,
Za moim cieniem!
Przed tobą lecąc, jak mgliste pochodnie
Ogników, świętość oświecam — i zbrodnie,
A imię moje, jak piętno się żarzy
Na każdej twarzy.
W wiecznej pogoni ze szczytów na szczyty,
Strącam w przepaści — i wznoszę w błękity —
I nad mogiłą rozciągam ramiona —
Niepochwycona.



VIII.

Z DZIEJÓW PIEŚNI.

I.

Urodzona z uśmiechów i łez młodej matki,
Drżąca, z serca jej wschodzisz nad kołyską oto,
Jak z serca ziemi wschodzą nieposiane kwiatki,
Piosnko, pieszczoto!
Lecisz na białych skrzydłach, jak anioły stróże,
Imię twoje »najmilsza«, a dźwięk twój opada
Tarczą, pomiędzy dziecię, a życiową burzę,
Co dyszy blada.

Młodość z piersi cię swojej ciska, jako strzały...
Tobie na imię »sława«, »miłość«, »ideały«,
Rozpalasz gromy w duchach i w głębie zadumy
Unosisz tłumy.
Tyś orzeł, co się gnieździ na myśli wyżynie,
Tyś słowo, co się ciałem staje w wielkim czynie,
Wstrząsasz purpurą królów i nędzy siermięgą,
Pieśni potęgo!

Ty wreszcie cicha stajesz nad świeżą mogiłą,
Oniemiała wraz z sercem, które tobą biło,
Łez pełna, do Hiobowych żalów stroisz lirę,
Szepcząc »dies irae!«...
I w wieczystej symfonii uniesiona wichrze,
Tajesz, jako śnieg, w tony cichsze coraz, cichsze
Aż ujdziesz, jako strumień, w oceanu wody,
W pieśnię przyrody!



II.

Widziałam pieśni, jak wiosenne kwiaty
Wonne, a lekkie — jak motyl skrzydlaty,
A takie jasne, jako błękit nieba.
Śpiewały miłość, jak trubadur blady,
I dziwne, straszne, prawiły ballady,
Którym słuchaczów przerażonych trzeba.
A gdy Czas przyszedł i z ranną je rosą,
Jak nikły potraw na łąkach ściął kosą,
Rozwiały zapach, lecz nie dały chleba.

Widziałam pieśni, co jak płaczki białe,
Stały na grobach, zamknąwszy ich chwałę
W pierś przezroczystą, łamiąc z żalu ręce...
A gdzie wiek zgasły rozwiał swoje szczątki,

Jak Ruth schylone, zgarniały pamiątki
Kłosów, mijanych przez śpieszące żeńce...
A gdy Czas przyszedł i otwierał groby,
Rzekł: »Jakże wiele próżnej tu żałoby!
I jakże zeschłe są te wasze wieńce!«

Widziałam pieśni, co jak niewolnice,
Szły za rydwanem wieku, strojąc lice
W uśmiech ponętny dla oka Cezara...
Lecące chwile tchem swym je żywiły,
Z bieżących zdrojów czerpały swe siły,
I nieraz pustą bywała ich czara...
A gdy Czas przyszedł i rozdzielał sławę,
Rzekł: »Wy, zaklęte w przydrożną kurzawę,
Po pierwszej burzy znikniecie, jak mara«!

Widziałam pieśni, co, jak cherub z mieczem,
Stanęły w ogniach przed sercem człowieczem,
Paląc mu piersi zawiści pożarem...
Jak szatę dzianą, tak one świat boży,
Dzieliły ostrzem przekleństwa i noży,
Czarną nienawiść mając swym sztandarem...
A gdy Czas przyszedł i uczynił sądy,
Z pomiędzy ludzi pieśni te, jak trądy,
Precz wyrzucono wraz z bezprawiem starem.

Widziałam pieśni, co z licem spłonionem
Stanęły ciche nad własnym zagonem,

Wiosce swej nucąc, jak szare ptaszyny...
Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,
Zagrody swojej trzymały się płotu,
Czarnego chleba jedząc okruszyny...
A gdy czas przyszedł, by wymierzyć płacę,
One za cichą drobnych celów pracę
Wzięły — fujarkę wioskową z wierzbiny.

Widziałem pieśni, co jak obłok biały,
W dzień przed ludzkością idącą leciały,
A w nocy słupem gorzały płomieni...
Co, wziąwszy w piersi wszechwieków tęsknotę,
Struny z niej sobie uczyniły złote
I szły, miłością walcząc, w państwo cieni...
A gdy Czas przyszedł, rzekł: »Błogosławiona
Pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona!
Wy, co słuchacie jej, błogosławieni!«...



IX.

GŁÓD.

Nie w purpurze, jak pożary,
Co zdobywczą idą klęską,
W rozpuszczonych na wiatr szatach,
W dymów stalowej przyłbicy,
I ogniste swe sztandary,
Całe w róż płomiennych kwiatach,
Pod obłoki górne niosą —
I siadają jak motyle
Gorejące, na wieżycy
I w dzwon biją pieśń zwycięską,
I jednoczą w dzikiej sile
Coś z rumaka stepowego,
Gdy się zerwie z uździenicy,
I coś z nagłej błyskawicy,
Gdy z gromowej padnie chmury...
Nie w żelazie, jako wojna,
Co z odkrytą piersią męską,
W łunach cała, w ręku z kosą,

Bohaterska i dostojna,
Grzmi pobudką na armatach
W takty serca młodzieńczego...
Płomiennym się orłem zrywa,
Śmierć bystremi siejąc pióry,
I jak meteor przelata
Ponad okręgami świata,
I okropność nawet swoją,
Szeleszczącą sławy zbroją,
I błyskami swej purpury
Przed oczyma nam zakrywa...
Nie jak mór, w bólach wybladły,
Co tragicznym swym oddechem
Zieje, nie patrząc na kogo,
I straszliwie prostą drogą
Z beznamiętnym mknie pośpiechem,
Śmiertelnemi prześcieradły
Owijając nam stolice...
Co skrzydłami nietoperza
W marmurowy gmach uderza,
Rozsypując go w kostnice...
Co za sobą żgła swe wlecze,
I mogilnym tchnie powiewem,
Depcąc nagie, drżące serca...
Co napada, jak morderca,
I obraca w piersiach miecze
Pełne jadu, pełne trądu,

I goreje jak pochodnia,
Zażegnięta Bożym gniewem,
I za pierś chwyta przechodnia,
Bez wyroku i bez sądu...
Ale nędzny, szpetny, siny,
Owinięty w mgieł łachmany,
Chyłkiem pełznąc poprzez pole
Najuboższej gdzieś krainy,
Kędy bladzi wyrobnicy
Noszą, od dnia urodzenia,
Aż do ostatniego tchnienia,
Kainowy znak: »niedola«, —
Zdawna już przepowiadany
Przeczuć ludu smętnem echem,
Łez strumieniem długich deszczy
Gradem, co jak prorok wieszczy
Srebrne klątwy ciska z nieba,
Głuchym gromem nawałnicy,
I pochodem zbrojnym wód,
Głosem matek przeklinany,
Własnym trawiąc się oddechem,
Idzie bez kawałka chleba —
Głód!

Wygaszoną z łez źrenicą
Blaskom słońca naigrawa,
I odsłania swą prawicą

Wszystkie nędze, wszystkie rany,
I szept pokus rzuca w ciszę...
I oskarża ziemię całą,
Że dla żywych jest za małą,
I odsłania nam naturę,
Jak mściwego ludziom wroga,
Co wypełnia krwawe prawa
Bez litości, i bez Boga...
I wyroki swe ponure
Tysiącami grobów pisze...
Błędy, zbrodnie i wybuchy,
Straty żywych sił narodu,
Spadające w otchłań duchy,
Noszą czarny napis: »z głodu!«
Myśl się przed nim cofa drżąca...
Oto idzie rozłakniony,
Depcąc pola i zagony
Pod oczyma gwiazd i słońca...
Gdyby jego mdłe wnętrzności
Płodne były, bez litości
Szarpałby swój własny płód...
Już wyciąga dłoń swą siną...
Biada! biada ci kraino!
Głód!



X.

TOAST.

Szalony, kto chce na morskiej głębi
Gasić pragnienie, co mu krew kłębi,
Kto do szerokiej przylgnąwszy fali,
Z nią się podnosi i w przepaść wali.
Szalony!... Życie, wielki piwniczy,
Poda mu puhar pełen goryczy.
Morza i bez nas w przepaście płyną —
Niech żyje wino!...



XI.

KWIATY.

Rzucajmy piękna siew!
  Niech wschodzą kwiaty,
Jak cudnych marzeń rój,
  Lekki, skrzydlaty...

Za kwiatem przyjdzie nam
  I owoc boży,
I urok piękna sam
  Dobro wytworzy.

Cóż kwiatek? — barwny puch,
  Oczu ułuda...
Lecz w pięknie żyje duch,
  Co tworzy cuda.

Zaprawdę życia ten
  Nie strwonił marnie,

Kto kwiecie swoich niw
Z miłością garnie...

I w ludów wiosny dzień
Stanie ten śmiało,
Kto rzucił ziemi swej,
Choć rożę białą...



ZMARTWYCHWSTANIE

I.

ZMARTWYCHWSTANIE.

O! zmartwychwstanie wszystkiemu, co mękę
Śmierci przebyło i grobu ciemnice!
Oto już słychać słowiczą piosenkę,
Oto się letnie palą błyskawice,
Oto z błękitów zlatują nam blaski
Dnia majowego, przebudzeń i łaski,
I słychać w ciszy jęczące otchłanie —
I grzmot wiosenny słychać...
Zmartwychwstanie!

Wam czarne lasy, i wam mokre łąki,
I zioła polne, i szare skowronki,
I wam zagony leżące odłogiem,
I tobie, gruszo stojąca przed progiem,
I wam dąbrowy, i gaje i kwiaty,
I tobie, strzecho zczerniała tej chaty...
Pęka już wierzba, słychać fletni granie,
I szum lecących skrzydeł...
Zmartwychwstanie!



II.

PO BURZY.

O Panie! Ty po burzy dajesz tęczę światom,
Ty podnosisz kielichy pochylonym kwiatom,
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę...

Do jutra cicha wioska ochłonie z przestrachu:
Ktoś wesprze zgiętą jabłoń, ktoś krokwie na dachu,
I zanim młoda jutrznia z wschodu się wynurzy,
Szczęśliwi wsi mieszkańcy zapomną o burzy.

O Panie! Ty konieczne żywiołów niesnaski
Z oblicza ziemi ścierasz prawicą swej łaski,
I nie zostawisz śladu klęski albo troski, [ski.
W przejrzystych sferach ciszy, gdzie masz tron ojcow-

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,
Pozwalasz, aby grzmiały głucho, pokryjomu,
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?



III.

MODLITWY WIOSENNE.

I.

»Ach, skrzydeł ludzkości«...[1])
Niech wolny duch wzleci,
Szeregiem stuleci
W krainę światłości!
Niech drogę ukaże,
Niech jutrznią oświeci
Narodów ołtarze,
I białe sztandary
Pokoju, miłości,
Niech w ciszy rozwinie!
Niech czynów ofiary
I wiedzy świątynie,
W noc burzy, zawiei,
Jak przystań nadziei,
Dla tłumów otworzy!...
Ach! skrzydeł ludzkości!...

[1]) Rückert.

Ach, skrzydeł!... Duch wolny,
Niech z wiecznych praw siłą
Ruch życia mozolny
Harmonią zespoli!
Niech z dzielnych dusz woli
Wykrzesze dyamenty,
I światu, co bryłą
Wystygłą się zdaje,
Przypomni świt boży,
Gdy został poczęty!...
Z przyszłością dni nasze
Niech celem skojarzy,
Niech tchem swym ogrzeje
Zmartwiałe poddasze,
Chleb świata rozkraje
Pomiędzy nędzarzy.
Przez wieki, przez dzieje,
Przez zmroki i świty
Duch wolny niech wieje,
Jak szare to ptaszę,
Co leci w błękity!...
Niech życie spaczone
Uzacni, uprości,
Błyskawic koronę
Niech twórczej da sile
I w ziemskim się pyle
Znieważać przestanie!...

Ach, skrzydeł ludzkości!...
Ach, skrzydeł, o Panie!...
Niech wszystko, co silne,
Podniesie swe loty,
I ziemia obroty
Niech swoje przynagla!...
A prochy mogilne
I cieniów szeregi
Niech próżno nie ciężą
U piór naszych żagla!
Duch niechaj otchłanie
Potężnym swym ruchem
Wypełnł po brzegi!...
Niech prawdy czciciele
Dostojnie zwyciężą,
Niech wszystko, co żywe,
Rozwija się śmiele,
Niech wszystko, co wielkie,
Zostanie odczutem!
Nad znojną prac niwę,
W przestrzenie wszechświata
Po rosy kropelkę,
Po siłę miłości
Duch niechaj ulata!...
Ach, skrzydeł ludzkości!

II.

Ty nam, Boże, nie strój ziemi
W kwiatów puchy,
Póki łzami gorącemi
Płaczą duchy,
Póki głos namiętny bije
W Twe niebiosy,
Niechaj ziemia dżdżu nie pije,
Kwiaty — rosy,
Póki siły dusz omdlałe
Giną marnie,
Niech nie kwitną róże białe,
Ani tarnie...
Póki ludzkich nędz miliony
Życie kryje,
Niech się lasów cień zielony
Nie rozwije...
I niech pączki swe drzemiące
Lilia chowa,
Póki głuchych skarg tysiące
Drży bez słowa...
Niechaj słowik oniemieje
Nad dąbrową,
I niech pieśń zawiodą dzieje
Hiobiową...

Niech strumienie srebrne wieści
Ciszej niosą,
Aż rozbrzmieje krzyk boleści
Z ranną rosą...
Burza płaszcz niech rzuci ciemny
Na błękity,
Aż wybuchnie ból tajemny,
Ból ukryty...
Boże! z ziemi zdejm zasłonę
Oblubieńczą,
Póki duchy znieważone
W pętach jęczą!
Niechaj w czarnym kirze stanie
Jak sierota,
Gdzie mgła światów przez otchłanie
Wieje złota...
Albo uderz w nią, jak gromem
Swą prawicą...
Niech ją ognie niewidomem
Zieniem chwycą,
I własnemi swemi żary
Niech wypiecze
Blizny swoje, ból swój stary,
Łzy człowiecze!
Niech tak stanie gorejąca,
Jak wulkany,

I odkryje blaskach słońca
    Swoje rany,
Aż Ty, Boże, dojrzysz przecie
    W swym lazurze,
Jakie kwitną dziś na świecie
    Krwawe róże!...
Aż ciemnoty zdejmiesz znamię
    Z ludów czoła,
Do walk cichych wzbudzisz ramię
    Archanioła...
Aż się w ruch potężny wzmogą
    Żywe prądy,
I zwycięzką zdepcą nogą
    Nowe lądy...
Aż zakipią oceany
    Od serc bicia,
Aż podniesie świat zbratany
    Toast życia!
Wtedy, Boże, niech zakwitną
    Łąki świeże,
Niech się w zieleń aksamitną
    Las ubierze;
Wtedy daj nam na ołtarze
    Wieńce nowe
I napoje w wiosny czarze
    Brylantowe!

Lecz dziś, gdy łzami krwawemi
Płaczą duchy,
Pocóż, Boże, na tej ziemi
Kwiatów puchy?



III.

W noc wiosenną, w noc majową,
Duch się zrywa i ulata
Ponad nędze i łzy świata,
Archanielską trzyma straż...
Ach! czy znajdzie wielkie słowo
Tajemnicy wszechistnienia?
Czy też konać ma z pragnienia,
Ojcze nasz!...

Gdzież ukoi swą tęsknotę,
Burzą zwątpień wskróś miotany?
Gdzie poniesie lot zbłąkany?
Ty mu, Boże, drogę wskaż!
Bo gdy zgasną blaski złote,
Znużon walką nadaremną,
Zapaść może w otchłań ciemną,
Ojcze nasz!

Ziemia twoja, w oceanie
Księżycowych blasków tonie

I w błękitnej mgły osłonie
    Patrzy w cichą nocy twarz...
Srebrną zbroję daj jej panie,
Co nie gasłaby o świcie,
Do walk długich, jako życie...
        Ojcze nasz!

Tęsknot dreszcze, żary ducha,
Szumy lasów, oddech ziemi,
Akordami potężnemi
    Wtórzą hymnom, które grasz...
O! niech ludzkość je podsłucha!
Niech braterstwo, miłość, zgoda,
Kryształowy ton im poda,
        Ojcze nasz!...

Niepoczęty, nieskończony,
Dla uśpionych zjawisk bytu,
Oddalone punkta świtu
    Stawiasz Ty, co wiecznie trwasz!
Cóż Ci znaczą lat miliony?
Ale duch się rwie w człowieku:
On chce skrzydłem być dla wieku,
        Ojcze nasz!...

Jeśli nie dość dźwiga znoju
Szala Twoja gorejąca,

Rzuć pragnienia dusz tysiąca
I w błękitach świat ten zważ!
Łez, tęsknoty, niepokoju,
Damy tyle, tyle, Panie,
Że ta chwiejna waga stanie,
Ojcze nasz!...

W noc tę cichą, w noc tę błogą,
Rozkwieconą, księżycową,
Ponad ziemi sennej głową
Gwiazd Twych chórom śpiewać każ!
Niech marzenia mleczną drogą,
W świat ją inny, lepszy wiodą...
Niech odetchnie w nim swobodą,
Ojcze nasz!...

A bezsennych duchów tłumy,
Co prawd wiecznych biegu śledzą
Tajemniczych głębin wiedzą
W tej srebrzystej ciszy darz!
Niech usłyszą orle szumy
Prącej naprzód, w dal, ludzkości...
Niechaj ujrzą świt przyszłości,
Ojcze nasz!



IV.

TO MY!

. . . «Kto tam w moje ciche noce,
Jak ptak w pętach się trzepoce
I skrzydłami mdłemi trąca
O mojego sierp miesiąca?
Kto źrenice pałające
Wbija w globy moje drżące?
Kto mi gwiazdy budzi moje,
Gdy ja na nie dłoń położę?
Kto uciszyć się nie może,
I zrywa się i znów spada,
Jak mdlejących wód kaskada?
Czyje to tam niepokoje
Płoszą moich światów sny?«
— To my!

. . . »Kto tęsknotą swego ducha
Czepia się mych gwiazd łańcucha
I o jutrznię moją pyta?
Kto tam woła: »wstań!« — na zorzę,

Nim nad ziemię i nad morze
Dzień mój w blaskach swych zaświta?
Czyja to tam skarga drżąca
Wzywa nocą mego słońca,
Zanim orły pióra strzęsą
Z sinych zmierzchów niecierpliwie,
Nim królewską strząsną grzywę
I zabłysną złotą rzęsą
Przebudzone ludy — lwy?«
— To my!

...Kto śmie ciszę mej zadumy
Porywami swemi kłócić?
Czyich to tam lasów szumy
Wiosnę moją chcą zasmucić?
Kto to uczy echa moje
Tęsknych westchnień, cichej mowy?...
Kto, w poranek mój majowy,
Uczy szemrać jasne zdroje?

...Kto tam nosi się z wichrami,
Jak opadłe liście z drzewa —
I chmur kiry westchnieniami
Po błękitach mych przewiewa?
Kto błyskawic ducha łuny
Na dnia mego rzuca białość?
Kto to sięgać po pioruny

Burzy mojej ma zuchwałość?
Od czyjego cieniów czoła
Tęczy mojej gasną wstęgi?
Kto tam gromów moich woła
I na jasne widnokręgi
Smutków swoich rzuca mgły?...«
— To my! To my! To my!



DO KOBIETY

I.

URYWEK.

O kobieto! co z płochą, rozbawioną zgrają,
Z salonu do salonu świetne wozisz stroje,
I jesteś, jak te nocne mdłych powojów kwiaty,
Co wtedy otwierają zamknięte kielichy,
Kiedy błękit gwiaździsty snem otula światy,
A przy każdem ognisku anioł staje cichy
I studzi trosk życiowych wrzące niepokoje,
I zadumanym czołom pieszczotę snu daje, —
Ty, której puste serce goręcej uderza
Tylko na dźwięk muzyki i widok tancerza,
Powiedz mi, co tam w domu robi — dziecię twoje?



II.

DO KOBIETY.

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyla pustota,
Co znaczy »kocham«, to najświętsze słowo,
Co pada z piersi, jako strzała złota,
I jak królewskiej purpury zasłona,
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową
I drżącą snami szczęścia dziewiczemi,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi
Byś otworzyła jednemu ramiona?

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie
Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno,
Że ta godzina, w której usta twoje
Szepcą to słowo, jest cudów godziną?
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje,
Że róże w pąkach płonią się wiosenne,
Że dziwne mary rozwiewne i senne,

Ciałem się stają pod drżącą twą dłonią?
Że w twej źrenicy, jako w pryźmie słońce,
Życie odbija blasków swych tysiące,
I załamuje promień brylantowy?...
Że noc koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje rosach?
Że twem wzruszeniem drżą gwiazdy w niebiosach?

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?
Że to uczucie, co łuny dziewicze
Rzuca na białość liliową twej twarzy,
I dyamentową skrą w oku rozbłyska,
Nietylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,
Pierwszem zarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy tajemnicze
Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą,
Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
Rzekł do niej, było słowo: »kocham ciebie!«

Posłuchaj! Kocham — to nie znaczy wcale:
»Chcę być pieszczoną w twym domu królową:
Chcę iść przez życie drogą kwieciem słaną...

Chcę w pocałunków twoich tonąć szale...
Chcę, by mi słonko świeciło co rano...
Chcę, by co wieczór lampę dyamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową...
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał, i zawsze witał mię uśmiechem...
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem...
Chcę żyć z twej pracy i twojego potu...
Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem«...

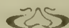
Nie! Kocham ciebie! — to znaczy: Chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą
I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.
»Kocham« to znaczy: Twoje ideały
I twoje cele są także mojemi.
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę, by mą drogą była twoja droga
Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
Chcę, byś był głosem mojego sumienia,
I wiódł mię z sobą do Boga!
Chcę, byśmy, lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości!

Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć,
I słowa twoje chować jak przysięgę;
Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę!
Kocham — to znaczy: Chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści...
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić,
I tarczą być twojej cześci.
Chcę na twych piersiach być, jak róża biała,
W której płomyczek tajemniczy pała,
I chcę być, jako pieczęć rubinowa,
Na ustach twoich bez słowa...
Kocham — to znaczy: Chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną!

Kocham cię — znaczy: O wolny ty duchu!
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
Wzlatać, jak orzeł, po najwyższych szczytach
I gniazdo zwijać w błękitach.
Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem...
Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim, i równym ci duchem.

Kocham — to znaczy: Ja chcę być dla ciebie
Prawdy, i dobra, i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie...
Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną,
Chcę być twą myślą, i ramieniem twojem,
I przyjacielem i żoną!

Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
Serce do takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty: »kocham« nikomu na ziemi!
Bo ten, co z tobą połączy swą dolę,
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,
Nigdy nie powie, że żyje!
I duchem wrósłszy w poziomą niewolę,
Nie zrobi nic dla przyszłości!



III.

O PSYCHE...

O Psyche! gdyś spłoniona i od pieszczot drżąca,
Na sennych ustach niosąc pocałunków żary,
Wstała, by schwytać jasność bladego miesiąca
I zamknąć ją we wnętrzu kryształowej czary,
I z lampą tą, srebrzącą palce twe różowe,
Nim błysnął złotem okiem purpurowy ranek,
Schylona nad pościelą, gdzie spał twój kochanek,
Cicho płonąc, patrzyłaś na drogą tę głowę:
Wtedy, z dreszczem rozkoszy i z trwogą tajemną,
Ujrzałaś, że ten, który upojeniem błogiem
Przeniknął twą istotę w noc cichą, w noc ciemną,
Był — bogiem!
Cóż jednak, gdybyś lampę swą zbliżywszy białą
Do tych nawpółotwartych i spuszczonych powiek,
Spostrzegła, że to piękne i młodzieńcze ciało,
To tylko — człowiek?



CZUWAJ STRAŻNICO!

I.

SKARŻYCIE SIĘ...

Skarżycie się na wiek, co ideały
Odziera z szat i waży je i mierzy...
Skarżycie się, że duch poezyi biały,
W śmiertelnym śnie z strzaskaną lutnią leży...
Skarżycie się, że niema śpiewać komu,
Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety;
Że wpośród burz i krwawych walk ogromu,
Bez echa drży znikoma pieśń poety...
Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą
Przykuwa słuch lecących w bój szermierzy,
Ołtarzem jest, świętością i przysięgą,
Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?
Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,
Jak biały bóg, co nocy cień zwycięża?...
Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy, jak korona
Słonecznych zórz, na jasnem czole męża?...
Lecz gdzież jest pieśń, co jako młot olbrzyma,
Z surowych skał wykuwa dzieło ducha?...

Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,
Pada, jak grom, a jako pożar bucha?
Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swem wybiega
Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?
Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażega
I hasłem jest, pod którem wrą miliony?
Lecz gdzież jest pieśń, co w przyszłość wkracza
I ziarnem prawd zasiewa niwę dziką?... [śmiało,
Gdzie jest ta pieśń, co duszę ma i ciało,
I wielkich słów ludzkości jest muzyką?...
Ach! taką pieśń, lirnicy, małowierni,
Zanućcie nam w powszednim ziemi gwarze,
Gdzie stoi tłum ostygłej, martwej czerni,
I garstka tych, co strzegą jej ołtarze...
Niech taka pieśń, jak orzeł, w górę wzleci,
A trupy drgną! Zaprawdę, mówię wam,
Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci,
Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam!



II.

BĄDŹ SILNYM!

Bądź silnym, bracie! Skrzydłami orlemi
Bij chmury, co ci grożą nawałnicą...
Nas dnie tak smutne, tak ciężkie zrodziły,
Że wielkiej ducha potrzeba jest siły,
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą
U jakiejś wczesnej, samotnej mogiły,
Lecz żyć na pełnej łez ziemi.

Bądź silnym! Niech twe młodzieńcze ramiona
Podźwigną brzemię, uniesień twych godne...
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy...
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia;
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia!

Bądź silnym! Życie swą powagą przygniata
Tych, co bez steru, bez woli, bez mocy,

Wśród tłumu zjawisk i sprzeczności świata,
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk skróś nocy...
Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!
A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy
Tych, co przed walką cofnąwszy się — giną,
I poza duchów wytrwałych dziedziną
Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,
Gdy wschodzi słońce przeczyste!

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,
Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,
Które się w całość połączyć nie mogą...
I brak im może właśnie twego ducha,
By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,
Co glob opaszą i nową pchną drogą!

Bądź silnym bracie!... Ach, jabym pierś twoją
Pragnęła zakuć dyamentową zbroją,
Przed ziemskiej żądzy palącym oddechem,
Co cię porywa w pełną wichrów drogę,
Przed zatrutemi zwątpienia strzałami,
Co biją w ciebie, jako błyskawice...
Lecz jestem sama słabą, i nie mogę
Być tarczą twoją, choć stoję przy tobie
Z rozpostartemi, jak siostra, rękami,

I patrzę w twoje gasnące źrenice,
I na twe usta, co bluźnią uśmiechem
Tajemnej ducha twojego żałobie,
Jak bluźni róża czarnej sierot szacie...
I próżno ciebie chcę obronić łzami
Przed skwarem życia, co pierś twą wysusza...
I próżno patrząc, jak kona twa dusza,
Wołam: bądź silnym, o bracie!...

Bądź silnym! Ziemia pod stopą się chwieje...
Stać trzeba z męskiem wytrwaniem wśród burzy...
Ten, kto nieść będzie pochodnię — nadzieję
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim, — ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała, —
Ten tylko imię człowieka wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!



III.

O WY, CO CIERPIEĆ...

O wy, co cierpieć umiecie w pokorze,
Wy, co nosicie krzywd waszych łańcuchy,
Jako wrośniętą w kark krwawą obrożę,
Słabe, poddania pełne, bierne duchy, —
Wy, co chowacie swój ból oswojony,
Jako gadzinę, gdy wyrwą jej jady,
I wieńcem kwiatów umiecie kryć ślady
Cierniowej życia korony, —
Co się zwyciężać dajecie bez boju,
Gotowi zrzec się dziedzictwa światłości,
Byle was tylko z gnuśnego spokoju
Nie wyrwał okrzyk przyszłości, —
Wy, co biegając w palącym się gmachu,
Z wygryzionemi od dymu oczyma,
W kąt się chowacie z nędznego przestrachu,
Zamiast wyjść krokiem olbrzyma, —
Wy co nie macie dość serca i mocy,
Hańbę zwać hańbą, a nędzę zwać nędzą, —

Wy, których losy biczują i pędzą
Po starych przepaściach nocy, —
Co czasom gromów, rażeni od trwogi,
Dajecie pozór pokoju zwodniczy —
— Was przyszłość minie, a jutra świt błogi
W szereg żyjących nie wliczy!
Męże i ludy los taki tu biorą,
Jakiego w sercu swem znają się godne...
Wielkością czynu, nie martwą pokorą,
Dzieje ludzkości są płodne.



IV.

POŁÓŻ RĘKĘ NA SERCU...

Połóż rękę na sercu, a jeśli ci ono
Gnuśnym i sennym ruchem w piersiach się kołysze,
Jeśli się lęka przerwać wywczasów twych ciszę,
A zamiast grzmieć i tętnić — usypia ci łono, —
Jeśli uderzeń swoich przyśpieszyć nie może,
Ani buchnąć płomieniem rozpaczy i wzgardy,
Jeśli w piersiach ci leży, jak kamień ów twardy,
Którego pług nie ruszy, lecz w chwastach oborze, —
— Zaprzyj się tego serca, i słowy gorzkiemi
Klnij tych, co ci je dali małem i robaczem,
I płacz — jeżeli możesz — rzęsistych łez płaczem,
Boś nędzny, najnędzniejszy z nędzarzów tej ziemi!

Serca, co się tchem wieku jak iskra zapala,
Jako płomień wybucha, a jak piorun gaśnie,
Serca, przez które płynie gorącej krwi fala,
Serca, co pęknąć zdolne — potrzeba ci właśnie!

Jeśli takiego nie masz, z schylonem obliczem
Idź, a szukaj w bezcześci gnuśnego ukrycia,
I miejsca, gdzieby wolno nazywać się — niczem,
Oddychać bez powietrza, i istnieć — bez życia!



V.

JAK ORCHIDEJE...

Jak orchideje, co gwiazdą błękitną
Tleją w powietrzu, nie tknąwszy się ziemi,
I na sam zapach dalekiej gdzieś wody
W pąki grubieją, pękają i kwitną;
Tak wy, o duchów marzących narody,
Niewkorzenione siłami żywemi
W ojczyste pola, i lasy, i chaty,
Wznosicie w błękit łudzący was, cichy,
Nadziei swoich otwarte kielichy,
Które też więdną — jak kwiaty!



VI.

KIEDY WSPOMINASZ...

Kiedy wspominasz, to dusza twa woła
Rzeczy, co poszła, by rozwiać się cicha,
Do umarłego podobna anioła.
A fala czasu, co cień jej odpycha
Ku brzegom mglistym i smętnym — daremno
Głos twój unosi w noc głuchą i ciemną.
Co przeszło — przeszło. Duch nigdy nie wraca
Po swych płomiennych śladach. Jego droga,
Jak tęcza za nim zwija się i skraca
Na kołowrotach, co tkwią u stóp Boga.

O! gdybyś wszystkie tęsknoty swej siły,
Co próżno mdleją u każdej mogiły
Wytężył w przyszłość, gdzie życia moc pała...
O gdybyś podniósł ramiona i oczy
Tam, skąd już bije blask świtu proroczy,
Co duchy z nędzy wyjarzmi i ciała...
I gdybyś trwał tak ku jutru zwrócony
Ty, o mój bracie, i ja, i miliony

Tych, którzy płaczą i życia klną brzemię,
Ujrzelibyśmy, iż przyszłość ta czeka
Na pożądanie gorące człowieka,
By wstrząsnąć pióra — i wzlecieć nad ziemię!



VII.

ŻYCIE — JAK WODA.

Życie — jak woda. Kto z cichego zdroju
Drobną czareczką nabiera napoju,
Temu ust żary słodki gasi trunek,
Jako błękitów pełen pocałunek.
Lecz kto zapragnie choć raz pić z głębiny,
Kogo porywa huk morza, zmierzch siny,
Potężne wzloty i nagłe omdlenia,
I czar przepaści, i wiry, i drżenia,
Kto całą piersią, gdy ogień ją pali,
Chce do burzliwej, jak sam — przylgnąć fali,
I pić otchłani napój tajemniczy,
Ten pian ma pełne usta i goryczy.

O, płytkie wieku i powszednie zdroje!
Płomień pragnienia pali wargi moje,
A przecież od was odwracam ja głowę,
I rzucam wasze ochłody perłowe...
Ty, głębio życia, ty pój mnie na ziemi
Przepaści twoich wodami gorzkiemi!

Dla ust, spalonych tajemnym pożarem,
Otchłań niech będzie kipiącym puharem!
Słona łez fala o pierś niech mi bije...
Niech piję gorycz — lecz z morza niech piję!



VIII.

POD KAŻDĄ STOPĄ...

Pod każdą stopą jest poziom jednaki.
Góra nie ugnie czoła pod twe nogi,
Lecz ty sam musisz uróść duchem w taki
Szczyt, co cię widnym uczyni wśród drogi,
Kędy iść będą pielgrzymie orszaki
Przyszłych pokoleń. I tak między bogi
Jasną kolumną myślową wystrzelić,
Nad czas, i czasu wielkość w siebie wcielić!



IX.

NIE LICZ WŚRÓD BURZY.

Nie licz wśród burzy na żadną latarnię,
Ani na ziemi, ani też na niebie.
Bo kto jej czeka, zatonie ten marnie
I będzie dzwonem na własnym pogrzebie.
Noc, tego tylko w swój płaszcz nie ogarnie,
Kto światło swoje wykrzesze sam z siebie,
I sam na drodze swej zaświeci jasno,
Ducha słoneczność roztliwszy — swą własną.



X.

WSTAŃ, O DZIECIĘ...

I.

Wstań, o dziecię! Idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnem naszem niebem,
Kłosy brzęczą żytnim chlebem,
Jako struny szklane...
Idź i słuchaj, a w tym szumie
Może serce twe zrozumie,
Jakie to nam rosy świecą,
Jak masz uczcić dolę kmiecą,
I zgrzebną sukmanę!



II.

Ucz się drogie dziecię moje,
Nosić wcześnie twarde zbroje,
Jak dawni rycerze!

Nie z żelaza, nie ze stali,
Te, co ludzie wykowali
Hełmy i pancerze,
Ale jasną, ale dzielną,
Zbroję ducha nieśmiertelną,
Co się strzał nie boi,
Ale taką tarczę złotą,
Co się zowie wolą, cnotą,
A za oręż stoi.



III.

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy zlanej potem,
Odgadujesz dolę twardą,
Uchyl czoła, synu miły
Przed tym, co się krwawo znoi:
Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoi!

Szanuj, drogie dziecię moje,
W małem ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropli — przyszłe zdroje,

W szelągu — miliony.
W każdej myśli — zaród czynu,
Życie — w chwilce co ucieka,
A sam w sobie — szanuj, synu,
Przyszłego człowieka!



XI.

NIE SKARŻ SIĘ!

Nie skarż się, bracie! Żadna grudka ziemi,
Którą ocean skrzydłami srebrnemi
Lotnych fal swoich od brzegu odbije,
Nie ginie marnie. Żadne piasku ziarno,
Lecące w otchłań straszliwą i czarną,
Gdzie milion cudów i przerażeń żyje,
Nie jest straconem... Przyrody potęga,
Gdy wód i ognia ścierają się prądy,
Łamie kryształy, do dna morza sięga,
I tam z atomów, dźwiga nowe lądy.

Nie skarż się, bracie! Żadna kropla rosy,
Co rankiem pada na łąki i wrzosy
I w brylantowe dyademy stroi
Główki róż dzikich i białych powoi,
Nie traci bytu, choć taje, mdlejąca,
Od pocałunków płomiennego słońca...
Ta sama kropla, ukryta w obłoku,

W twarz ci gdzieś pryśnie u białej kaskady,
Albo uprzędzie dla mgły rąbek blady,
Albo w najdroższem tobie błyśnie oku.

Nie skarż się! Iskra, co gasnąc ulata,
Jak duch zdmuchnięty w wysiłku daremnym
O atom światła nie zuboży świata,
Choć zniknie w zmierzchu tajemnym...
Ta sama iskra, tchnięta gromem słowa,
Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,
Lub, jako strzała burzy piorunowa,
Rozwali prastare tumy.

Nie skarż się bracie! Ostatnie westchnienie,
Które bez jęku, bez szmeru, bez skargi,
Rozchyla blade, konające wargi,
Nie leci w nicość i w wieczne milczenie...
Ono się zbudzi, jak wicher nawalny,
Co łamie maszty i żagle napręża,
Lub jako okrzyk ludów tryumfalny
Gdy sprawiedliwość zwycięża!

Sił swoich nigdy nie roni przyroda,
Ale je w wiecznym utrzymuje ruchu,
I w tajemniczym istnienia łańcuchu
Nic ich nie ujmie, i nic ich nie doda...
Choćby ocean podniósł się w błękity,

Choćby na ziemię spadła mleczna droga;
Zawsze pierwiastek bytu niepożyty
    Obejmie sobą myśl Boga!

Nie skarż się, bracie, choć ducha szermierze
Padają w walce przez ciżbę zdeptani,
Wieczne ludzkości z postępem przymierze
Nie zginie w mrocznej zwątpienia otchłani.
Ideał jasny, ideał promienny,
Coraz wyższego i szerszego ruchu,
Choć w formie zjawisk wydaje się zmienny,
Trwa wiecznie w prawdzie i w duchu.

Nie skarż się! Alboż wiedzieć jesteś w stanie,
Gdzie dziś kiełkuje siew z przed lat tysiąca,
I jakim kwiatem wspaniałym powstanie,
W jutrzennych promieniach słońca?
Jaka ożywcza i płodna potęga
Zamierzchłej pracy, wiek nowy zasila?
I gdzie lecąca z ust oddechem chwila,
    Potęgą swoją dosięga?

Duch dąży w światła dziedziny przyszłości,
I w ruchy swoje wciela niewidomie
Żywą energię walczącej ludzkości,
    W całym jej różnic ogromie...

Z promiennej jego, choć krwawej zdobyczy,
Nic nie przepada i nic nie zaginie:
Jest myśl, co każdy wysiłek policzy
W wielkiej tryumfu godzinie!



XII.

TY BĘDZIESZ SILNYM...

Ty będziesz silnym, przez to, w co uwierzysz,
Jako w cel życia wzniosły, choć daleki,
Przez to, z czem duchem zetrzesz się i zmierzysz,
I uznasz prawdą na wieki...
Ty będziesz silnym przez to, co dla tłumów
Marą jest tylko rozwiewną i cieniem,
A co się rodzi już wśród orlich szumów
Przyszłości światła wcieleniem...
Ty będziesz silnym przez to, co błękity
Srebrne do ciebie mówić będą nocą...
Przez łzy twe, z których powstaną zórz świty,
Co ziemię twoją ozłocą!
Ty będziesz silnym przez cichę te szumy,
Co biją w skrzydła nad lasy twojemi...
Przez każdą płodną godzinę zadumy
O nędzy i krzywdach ziemi...
Ty będziesz silnym przez moc tę słoneczną,
Co z twej miłości i z pragnień twych bije...

Przez to co w piersi twej rwie się i żyje
Tęsknotą wieczną!
Przez to co z złudzeń młodzieńczych rozbicia
Zostanie tobie, jak ster nieomylny...
Przez to, co prawdzie oddasz z swego życia,
Ty będziesz silny!

Szczęśliwym będziesz przez to, co twa dusza
Ukocha; przez to, na czem spoczniesz twojem
Sercem, bijącem wiecznym niepokojem,
Co pierś ludzkości porusza...
Przez to, co oddasz w służbę ideału,
Przez żary ducha twego najgorętsze,
Przez nieskalane serca twego wnętrze,
Przez łzy zapału!
Szczęśliwym będziesz przez iskrę tę bladą
Którą twa miłość w narodzie rozdmucha,
Aż tryśnie blasków ożywczych kaskadą,
Płomieniem ducha.
Szczęśliwym będziesz przez ciszę błękitną,
Co w piersiach gwiazdy rozpala, jak w niebie...
Ach, i przez uśmiech ten, którym zakwitną
Najdroższe usta dla ciebie.
Przez twe nadzieje, przez twoje zachwyty,
Przez drżenie serca, przez łzy uniesienia,
Przez moc porywów, przez siłę natchnienia,
Co myśl przekuwa w granity...

Przez sferę światła, i ciepła, i ruchu,
Którą twa istność roztoczy dokoła,
Przez zmartwychwstanie wskrzeszonych na duchu,
    Przez każdy promień ich czoła...
Przez to, w czem całą potęgą miłości
Duch twój rozbłyśnie, wcielony w kształt żywy,
Przez ukochanie gorące przyszłości —
    Będziesz szczęśliwy!



XIII.

O, CZEMUŻ...

O, czemuż dęby nasze starodawne
Nie od pioruna poległy w swej sile...
Czemu korony nie spadły im sławne
Na jakiejś wielkiej mogile!

Po liściu oto, po jednej gałęzi
Odarł je wicher z wiosennej ich krasy,
A pierś ich cisza obumarła więzi,
I milczą pola nasze, milczą lasy...



XIV.

PRZEKLĘTY LOS...

Przeklęty los błyskawic, co się palą w ciszy,
I osypują w ciszy fosforycznym kwiatem!
Przeklęty, gdy za niemi grom żaden nie dyszy,
By zatrząść zestarzałym i bezwładnym światem!

I grom ten jest przeklęty, co bez śmierci bije,
Po którym nie drżą ludy i nie płoną lasy...
Uderza — przecież cała stara nędza żyje,
I w starej pleśni drzemią starych bezpraw czasy.

Przeklęty los! I jedno i drugie się spali
I padnie w nic, i w ciemność, i w głuchotę wieku,
I niczem nie zaważy na tej sądnej szali,
Na którą krzywdy swoje kładziesz — o człowieku!



XV.

W SŁONECZNOŚĆ...

W słoneczność my patrzmy, w słoneczność tę bożą,
Co z przyszłych dni wschodem zabłyśnie na ziemi!
Skrzydłami się do niej zrywajmy orlemi,
A niech nas zaćmienia nie trwożą!
Od brzegów przeszłości odbijmy ochoczo,
Żegnając dni stare — kto pieśnią, kto łzami...
Błękity nad głową — a ziemia przed nami,
Choć burze się w koło szamoczą.
Hej, rozpiąć tam żagle! Już brzeg stary znika,
Już cichym nas szeptem żegnają mogiły...
Do pracy! do pracy! wytężmy dziś siły!
Cel wielki — to rozkaz sternika!
O gwiazdo ty drżąca, o gwiazdo zbłąkana,
Co rzucasz się nocą błyskami krwawemi,
Nie naszym ty wodzem, nie słońcem tej ziemi,
Co czeka na wschód swój do rana!
Na cichych my wodach posnęli leniwie,
A muły nas brudne obeszły, jak sidła...

Hej! w górę tam żagle!... hej! w górę tam skrzy-
Do wioseł! do wioseł, kto żywie! [dła!
Nie zdradzim my hasła, jak nędzni korsarze,
Co chyłkiem czyhają na zdobycz nikczemną;
Przebędziem bez trwogi noc burzy, noc ciemną,
Aż słońce nam ziemię ukaże!

Ach, wschodzi! Ach, idzie srebrzystych pian wałem...
Ach, ściele się w przyszłość jaśniejsza nam droga!
Hej! w górę tam serca! Niech duchów załoga
Porannym w świat zabrzmi hejnałem!



XVI.

A CHOĆBYŚCIE...

A choćbyście wrośli w ziemi
Siłami wszystkiemi,
Choćby wszystkich dżdżów obłoki
Poszły wam na soki,
— Nie wzniesiecie w górę czoła
Gdy wiosna zawoła,
Nie wydacie duchem kwiatu,
Ni sobie, ni światu —
        Bez miłości, bez zapału,
        Bez czci ideału!

A choćbyście przeszli morza
Błękitne przestworza,
Choćby góry całej ziemi
Z skarbami wszystkiemi,
— Powrócicie jak żebracy,
Z waszych dróg i pracy,
Załamiecie próżne ręce,

W strasznej głodu męce —
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,
Choćby z stali były męże,
A z gromów oręże,
— Pójdą w jeństwo wasze roty
Popod cudze płoty,
Wasze boje będą klęską,
Wasza śmierć niemęzką —
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćby wam trąby grały
Nowych dni hejnały,
Choćby cały świat z mogiły
Wstawał pełen siły,
— Wy się z trupich waszych pleśni
Nie dźwigniecie w pieśni,
I w zmartwychwstań wielkiej dobie
Zostaniecie w grobie —
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!



XVII.

DO MŁODEJ BRACI.

Czuwaj strażnico! W ludzkości pochodzie,
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie!
Niech tory biją przed braćmi ciemnemi,
Niech będą świtem i jutrznią tej ziemi —
I wyciągniętą po światło prawicą...
Czuwaj strażnico!
W wieków, i ludów, i pojęć rozterce,
Ty stój, gdzie bije puls ziemi i serce!
Tchnieniem zapału rozgrzewaj ty słońce,
Nad małodusznych głowami stygnące,
I bądź wiosennej burzy błyskawicą...
Czuwaj strażnico!
Czystą ci trzeba w przyszłości wejść progi,
I strząsnąć pyły nędz ziemskich wśród drogi,
I z ramion zrzucić żądz niskich kajdany...
Żaden duch wielki nie był pokalany,
Kochanek prawdy musi być dziewicą...
Czuwaj strażnico!

Wrzącego ducha co światła jest głodny,
Kwiat jednodniowy zaiste niegodny!
Skarbów zapału nie rzucaj ty w błoto,
Umiej samotnym żyć z swoją tęsknotą,
Usta swe czystą napawaj krynicą...
Czuwaj strażnico!
Dziś samym walczyć niemożna zapałem:
Myśl — przekuj w słowo, a słowo — zrób ciałem!
Siej za swym pługiem nie mary, lecz czyny,
Przyszłości jasne ukochaj dziedziny,
I bądź ciśniętą nocy rękawicą...
Czuwaj strażnico!
Jeśli ty, orle połamawszy loty,
Pomiędzy płazy upadniesz tu nisko,
Jeśli ty ducha zaprzesz się tęsknoty,
Miłości bratniej zagasisz ognisko,
Jeżeli na tej wpółuśpionej ziemi
Zastygniesz między duchami martwemi,
Jeżeli rzucisz ty berło zapału,
Jeśli się zrzekniesz praw do ideału, —
Świat się zatrzyma w wielkim swoim ruchu
I znikczemnieje, zesłabnie na duchu,
I długiej nocy cienie go pochwycą...
Czuwaj strażnico!
Idź, idź, idź naprzód! Ta przyszłość słoneczna,
Na którą ludy pracują — istnieje!
W mrokach my jeszcze, lecz w górze już dnieje!

Przed Tobą droga twarda — a konieczna...
Ty pierwsza musisz wedrzeć się na szczyty,
Pierwsza zwiastować poranne błękity,
Wznieść sztandar pracy, wytrwania wśród znoju,
I być hejnałem świtu i pokoju,
W słońce zwróconą ludzkości źrenicą!
Czuwaj strażnico!



CREDO...

I.

CREDO.

Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobycze;
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki;
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów, wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni,
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy.
Wierzę, że dawne błędy żelaznym łańcuchem
Ciężą nad późnych wieków i wolą i ruchem...
Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową,
Wierzę, że sprawiedliwość zstąpi nam królową...
Wierzę w ciszę i w spokój po gromach i burzy;
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem się nie nuży...
Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
W największej własnych uczuć i porywów wojnie.
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały,
Wierzę w nieskończoności jasne ideały...

Wierzę, że z drobnych iskier, skrzesanych przez dzieje,
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.
Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi,
Kędy się krzepią duchy wodami żywemi,
Kędy nizkie zabiegi milkną przed obliczem
Wiekuistej ustawy z berłem tajemniczem...
Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą,
Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą...
Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości,
Dla potężnych idei prawa i równości...
Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna,
Wierzę, że ludzkość wiecznie łudzić się nie zdolna,
Lecz, nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona
Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.
Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę,
Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte...
Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary.
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi...
I »niechaj mi się stanie podług wiary mojej!«



II.

SAMOTNA IDĘ...

Samotna idę wśród nocy tą drogą,
Którą łez ludzkich wskazują mi ślady,
Ale o hasło nie proszę nikogo!
Ach, za promyczek mizerny i blady,
Za nędzny odzew — żądają zapłaty
Królewskiej: ducha wolności i — zdrady.
W prawo i w lewo odrębne dwa światy,
Lecz droga moja ni w lewo, ni w prawo.
Ja idę prosto do biednej tej chaty,
Co nędzą swoją odbija jaskrawo
Od głośnych haseł, rozdwojeń i kłótni...
Idę, gdzie ziemia pustą jest i łzawą,
Gdzie jęczą ludzie skrzywdzeni i smutni,
I od nich to się uczą być smutnemi
Westchnienia, pieśnią płynące z mej lutni.
Gdzie więcej potu, niż chleba na ziemi,
Gdzie opuszczeni są, gdzie są tułacze,
Tam, jak ptak lecę skrzydłami drżącemi.

Gdzie duch omdlewa — i tęskni — i płacze,
Kędy niedola zasiada u proga,
Idę — i ślad za sobą pieśnią znaczę,
I we łzach wołam do Boga.
I do was wołam, wy, sercem rozdarci,
Między którymi wypadła mi droga, —
Wy — nie anieli dla mnie, ani czarci,
Ale ach! duchy słabe i omylne,
I ludzie — często też westchnienia warci!
Jakoż mi od was przyjść ma to, co silne,
Co wskrzesić, podnieść i uskrzydlić może,
Jeśli wy sami, jak urny mogilne
Stoicie, — albo bijecie, jak morze,
Unosząc wszystko w burz własnych odmęty;
Dla mnie, co jasne, słoneczne, to — boże
Lecz nienawiści duch u mnie — przeklęty!
A ten, kto niesie krzyż razem z nędzarzem,
I wierzy w świty przyszłości — ten święty!
A, każda boleść jest dla mnie ołtarzem,
A sprawiedliwość — najczystszą ofiarą!
Siła, co jeńców wyzwala z pod jarzem,
Jest mi nadzieją, miłością i wiarą,
Lecz ta, co ludzkość rozdwaja przez wodze,
Klątwą jest naszej małości i karą!

Bez gwiazd, bez słońca drogą tą przechodzę.
Dzień bez uśmiechu, noc bez upojenia,

Jako cień smutny przemija w mej drodze...
Przecież innego nie żądam promienia,
Prócz przeczuwanych odległych tych świtów,
Co budzą ludów uśpione sumienia,
Prócz cichych wiecznej tęsknoty zachwytów,
Prócz brzasków, które duchy wielkie niecą,
Prócz miłościwych dla smutku błękitów —
I tych łez jasnych, co z oczu mi lecą!



III.

CO JA SIEJĘ?

Przez pola puste, przez czarne te role,
Ponad któremi dzień wschodzi przyszłości,
Idę — i rzucam siew bratniej miłości
Dla tych, co słabi i dla tych, co prości,
Dla tych, co twardą, ciężką mają dolę.
I duszę własną wylewam, jak czaszę,
Łez srebrnych pełną, by z nich, jako z rosy,
Brały swą plenność jutrzejszych dni kłosy,
Dni, w których nędzarz — dziś nagi i bosy
Ukocha cele i nadzieje nasze.
Ja sieję ciszę, ja sieję pogodę
W sercach tych, co są maluczcy u świata,
Bo znam w nędzarzu człowieka i brata,
Bo miłość — tylko miłości zapłata,
A w nienawiści wzgarda ma nagrodę.
Lecz jeśli dreszcze uczuwa kto strachu,
Na widok ramion tulących uściskiem,
Co odepchniętem jest — i to, co niskiem;

Ten winowajcą jest znać — i z rozbłyskiem
Świtu drży, sądząc, że pożar na dachu.
 Ja ciepło sieję, by z niego, jak z ziarna,
Światło na myśli błysnęło nam niwie;
Drobne iskierki ja krzeszę cierpliwie,
Własnem je tchnieniem zasilam i żywię,
 Zanim noc pierzchnie, noc głucha i czarna.
Bo w słońcu tylko dojrzewa plon błogi;
A kto dnia gwiazdę zadmuchnąć chce złotą,
Ten — albo sam jest rażony ślepotą,
Albo dłoń chciwą wyciąga już oto,
 Po zdobycz łatwą wśród zmierzchu i trwogi.
Ja ducha mego, ja krew moję sieję;
Ja pieśnią wstrząsam tę ziemię zoraną,
Jak grzmot wiosenny — aż jutro z niej wstaną
Ludzie, godniejsi piastować to miano:
 W tę ja pracuję, w tę żyję nadzieję!
Pójdźcie, obaczcie, kto jestem, i jaki
Siew rzucam w rolę przyszłości! Zaiste,
Ziarno me zdrowe, i płodne, i czyste,
Tak mi dopomóż w tym siewie, o Chryste,
 I niech w dzień żniwa snop plonu mam taki!
A ja wam mówię: mój kamień mogilny
Mieć będzie napis: »braterstwo i zgoda«.
I wzejdzie nad tą mogiłą pogoda,
I brat tam bratu z miłością dłoń poda —
 I pójdą razem — i słaby — i silny.

Lecz teraz — jeszcze rozterki jest pora;
Więc smutna jestem i pełna goryczy,
I słowa moje, jak świst giętkich biczy,
Rażą tym uszy, co w spokój zwodniczy
  Chcą ukołysać sumienie — upiora.
Tak! biczem jestem na serca, w tłustości
Własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem!
I jednych chłoszczę, i wstrząsam łańcuchem
Drugich — a wszystkich chcę porwać mym duchem
  Ku dnia rozświtom, ku wielkiej przyszłości!
Kto tam iść nie chce, niech kopie mogiłę,
Niech się zawczasu w grób ciemny położy;
Bo przyjdzie w słońca promieniach duch Boży,
I przyszłość ludom naroścież otworzy...
  Ja wam to mówię — ja mówić mam siłę!
A w dniu tym razem z mrokami nocnemi,
Z krzywdą, z niedolą, i z hańbą, i z nędzą,
Duchy światłości — obłudnych rozpędzą,
A pająk własną udusi się przędzą,
  I spokój będzie, i miłość na ziemi!

A teraz rzućcie, gdy chcecie, kamieniem.
Ale zaprawdę, jeżeli ja wzruszę
Pieśnią choć jednę zakrzepłą w lód duszę,
Jeśli choć jednę łzę bratnią osuszę,
Kamień — u nóg mych upadnie ze drżeniem!



IV.

DUCH MÓJ, PTAK BOŻY...

. . . .

Duch mój, ptak boży, co go Pan w czas ranny,
I w czas wiosenny wypuścił pod niebem,
A z rąk mu daje przeczystych ros manny,
I karmi chlebem.

A zaś go lotów uczy, i za skrzydła
Niemocne trzyma, bo zwyknął w przestrzeni,
I blaskiem cichych odziewa promieni,
I strzeże sidła.

A z pieśni onej wielkiej, którą wieczność
U stóp mu śpiewa, głos jeden mu daje,
I każe lecieć nad smętnych ziem kraje
W przyszłą słoneczność.

A gniazda jemu nie ściele na róży,
Ani pogodą nie darzy na ziemi,

Ale go trzyma pod błyskiem, wśród burzy,
Pod gromy swemi.

A zaś go wiatru cichego powieniem,
Na lasy niesie, na pustych niw pola,
Gdzie ludzie chodzą w zadumie, a z drżeniem,
Gdzie płacze dola...

A zaś go niesie na role cmentarne,
I nad kurhany wypuszcza jak strzałę,
Ażby w ruń groby porosły tam czarne,
I w kwiecie białe...

A zaś rybitwą na wielkie szle wody
Co senne łodzie swym krzykiem zatrwoży,
A zaś skowronkiem, co czasy pogody
Oraczom sporzy...

A umęczony jest duch mój w tym locie,
Trapieniem Pańskiem i własną niemocą,
I nieraz mdleje w palącej tęsknocie,
Miesięczną nocą...

Lecz mu niewolno jak czynią motyle,
Skrzydłami bijąc, na ludzkie paść ramie...
A tę gałązkę, gdzie spocznie na chwilę,
Pan zaraz łamie.

Aż sam po niego wyciągnie swe ręce,
Z powietrza weźmie, na piersi go złoży,
I krwawe pióra wygładzi po męce.
— Duch mój — ptak boży...



V.

ZAWSZE LECIAŁAM...

. . . .

Zawsze leciałam do ciebie,
O światło!
Zawsze leciałam do ciebie,
O światło wieczne na niebie,
I byłam ci, jak drobny ptak,
Co w podsłoneczny płynie szlak,
I byłam ci jak muszka, licha,
Co za płomieniem dech wydycha,
O światło!

Czyliś zabłysło dla ziemi,
O światło,
Czyliś zabłysło dla ziemi
Kwiatami nocy srebrnemi,
Czyś na majestat weszło swój,
Zwycięski z cieniem zwiódłszy bój,
Czyliś miesięczną swą poświatą,

W brzózce tej drżało przed mą chatą,
O światło!...

Zawsze tęsknemi ja loty,
O światło!
Zawsze tęsknemi ja loty,
Wzbijałam ducha w blask złoty!
I w burzę nawet, kiedy grom
Zatrząsł te węgły i ten dom,
W błyskawicowych ogniach cała,
Jeszczem przed tobą z pieśnią stała,
O światło!



SPIS RZECZY.



Credo.



537
100-
119
w/s

BINDING LIST FEB 1 1950

LP
K8275po

499198

Konopnicka, Maria
Poezye w nowym ukladzie.
Vol.1.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED